



197930

SZK

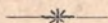
197930

I

# BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.



## WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:

Z przesyłką pocztową:

Rocznie . (52 tomy) rs. 10  
Półrocznie (26 tomów) „ 5  
Kwartalnie (13 tomów) „ 2 kop. 50

Za odnośnienie do domu 15 kop. kw.

Rocznie . . (52 tomy) rs. 12

Półrocznie . (26 tomów) „ 6

Kwartalnie . (12 tomów) „ 3

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

## DOPLATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy) . . . rs. 6 kop. —

Półrocznie . (za 26 tomów) . . . „ 3 „ —

Kwartalnie . (za 13 tomów) . . . „ 1 „ 50

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop

REDAKTOR I WYDAWCA

*Franc. Jul. Granowski.*



Redakcyja i Administracyja: Warszawa, Nowy-Swiat 47.—Telefonu 1670  
we Lwowie Plac Maryacki l. 4

Drukarnia A. T. Jezierskiego, Nowy-Swiat 47

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

№ 282.

# CZARNA KREW

(„A FEKETE VÉR.”)

POWIEŚĆ

MAURYCEGO JÓKAJA

przełożona przez

B. JAROSZEWSKĄ.

TOM I.



*Jókai Mór*

Cena 40 kop.

W pren. 30½ kop.

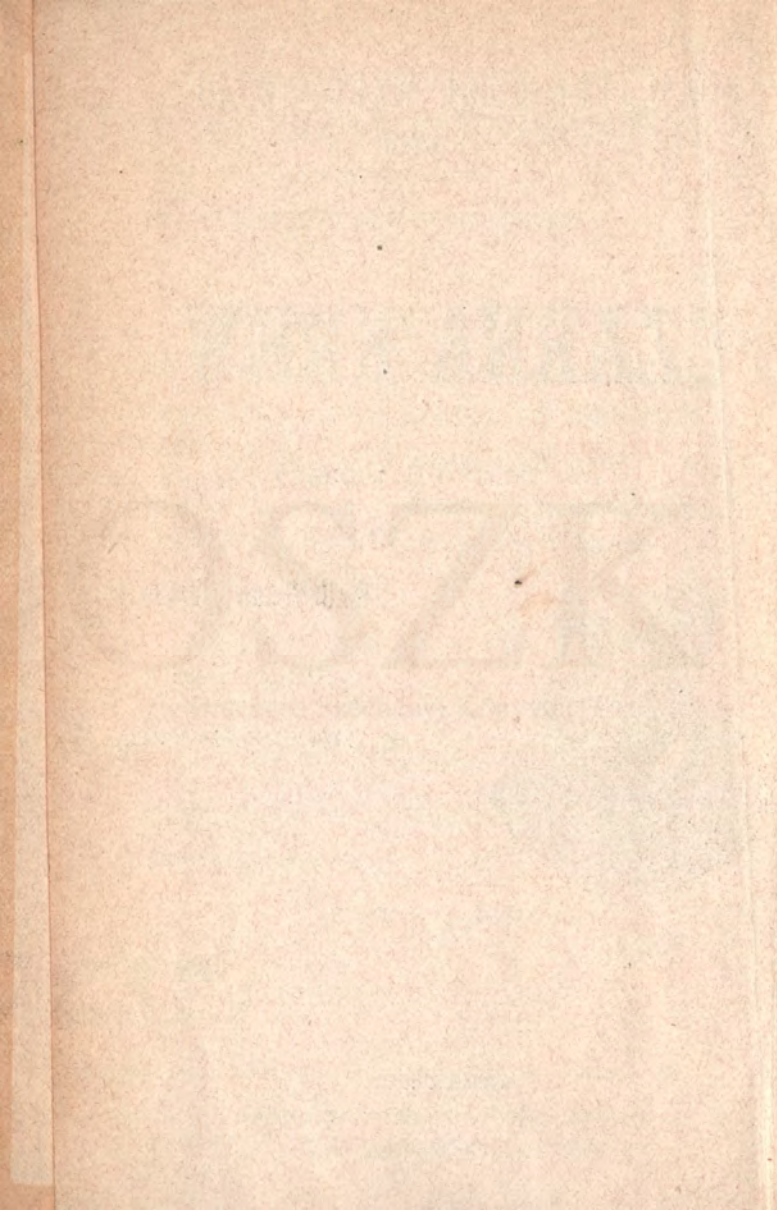
WARSZAWA

Redakcyja i Administracyja

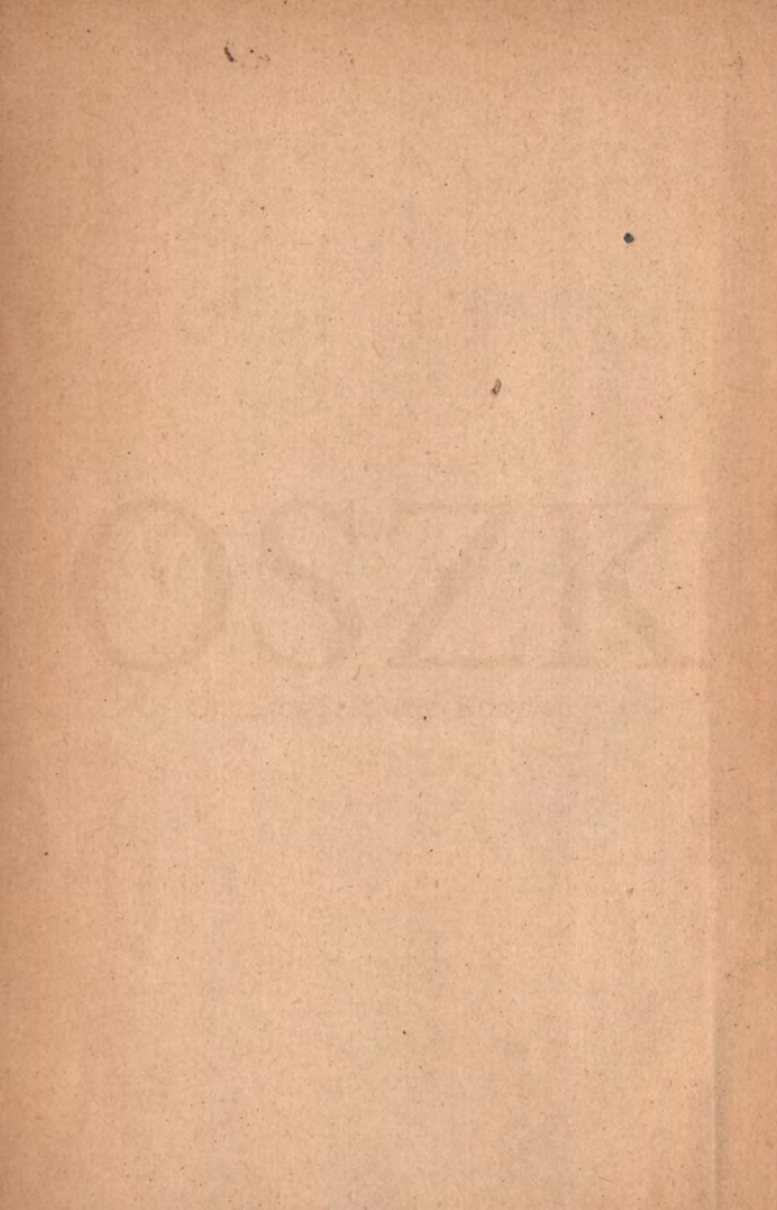
47. Nowy-Swiat 47.

—  
1903.





CZARNA KREW.



*Sivély Adyán ajándéka.*  
Maurycy Jókai.

*1876.*

# Czarna krew

(„A FEKETE VÉR”).

POWIEŚĆ

PRZEŁOŻONA Z ORYGINAŁU WĘGIERSKIEGO  
Z UPOWAŻNIENIA AUTORA

przez

**B. JAROSZEWSKĄ.**

  
TOM I.  


WARSZAWA

DRUKARNIA

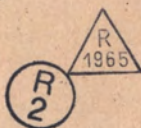
A. T. JEZIERSKIEGO

47. Nowy - Świat 47.

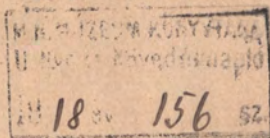


Frank.  
Zinn

Дозволено Цензурою.  
Варшава 16 Мая 1903 года.



197930



## ROZDZIAŁ I.

---

### Czarna zmora.

Po raz to pierwszy dopiero zjawiała się w Europie.

Zkąd przybyła? Jak powstała? Tego nikt nie wiedział. Niby wichrem grana, z okolicy do okolicy, z kraju do kraju przelatywała. Po brzegi przepełniwszy jedne cmentarze, szlak swój znacząc pochodem żałoby, szła innym rzucać na pastwę swój łup niezliczony.

W Siedmiogrodzie nazywaną ją „dżumą”, u Słowaków—„kiselą”; Węgrzy twierdzili, iż jest to „żółciowa zaraza”; według doktorów, była to „cholera morbus” — zaś lud prosty na całym niemal świecie „czarną zmorą” ją mienił.

Próbowano bronić się, leczyć. Wyszły surowe rozporządzenia, zakazujące jedzenia melonów, dyń, ogórków i wogóle owoców; podłogi obficie posypywano chlorkiem, na plecach i piersiach noszono woreczki z kamforą, w mieszkaniach kadzono kminkiem i sosnowem nasieniem, obmywano się

octem winnym, pito odwar z liści cytrynowych—nie nie pomagało.

Więc postanowiono strasznej zmurze energicznie przeciąć drogę. Po komitatach obywatele sami podjęli się pełnić obowiązki straży, a po miastach panowie rajcowie pilnowali, aby nikt nie przestąpił „kordonu”, mosty zaś porozbierano. Czarna zimora jednak kpiła sobie z tych ostrożności: umiała się obejść bez mostów, bez promów, jednym skokiem przerzucała się z jednego na drugi brzeg Cissy, Dunaju, Samoszu.

Po wsiach obnoszono słomą wypchane lalki, wielkości dużego człowieka: chrzczono je imieniem „Dżumy” i ze śpiewami, z procesją, wywłókszy je na cmentarz, palono na stosie, rzucając groźne przekleństwa; gdzieindziej znów wprzęgano do pługa małe dzieci, rozebrane do naga, i zaorywano szlak naokoło wioski. Ale niestety—i to nie pomagało.

Gdzie się raz pojawiła, tam milkły dzwony, kościoły zamykano, ludzie ponuro unikali się wzajemnie, a kogo dosięgło jej zabójcze tchnienie, ten padał bezwładny, cały pokurczony, lekarze wlewali mu do gardła bizmut, rozciągali na posłaniu pod kołdry i pierzyny, okładali dokoła rozgrzanymi cegłami i stawiali przy nim dwóch ludzi z drągami, aby, jeżeli chory nogę lub rękę wysunie z pod kołder, za pomocą tych drągów napowrót go okrywali.

Zkąd się bierze? Z czego powstaje? Bezskutecznie łamano sobie nad tem głowy. W całym kraju naówczas wychodziła tylko jedna jedyna gazeta. Tam pisali uczeni o tej chorobie, iż tworzą ją maleńkie, okiem niedojrzane robaczki, żyjące w powietrzu i zatruwające ludziom oddech, z tego też powodu niebo bywało po dniu całkiem



sine. Ale co te mikroby napędza, chociaż wiatr nie wieje?

Pochód jej znaczył się takim zniszczeniem, jakby pochód wojny.

Naraz, między ludem prostym wieść szerzyć się zaczęła, że to panowie i Żydzi sprzysięgli się wspólnie na wygubienie niższych klas społecznych i że w tym celu zatruwają wódkę, oraz studnie. To niedorzeczne oszczerstwo znalazło wiarę wśród chłopstwa; we wsiach wybuchnęły buntury i okropne rzezie. Straż ziemską nie mogła sobie dać rady po komitatach, rząd zatem ujrzał się zmuszonym powyprowiać przeciwko gwałcicielom porządku całe oddziały wojska; gdzie nie wystarczały rotury, tam posyłało pułki, i niejednen jenerał musiał osobiście występować do walki ze wzburzonym motłochem.

Jenerał baron Wawrzyniec Lenke, chociaż z urodzenia był cudzoziemcem, dzielnością swoją jednak zasłużył sobie na indygenat węgierski; nauczył się języka swoich nowych współziomków, czem pozyskał sobie jeszcze więcej serce i sympatyj. W młodości musiał być ślicznym chłopcem, ale nawet i teraz, w czterdziestej piątej wiośnie życia, nie brak mu było jeszcze żadnej z cech męskiej urody, które podbijają względy niewieście.

To, a także i charakteru liczne zalety, jakimi się odznaczał, zdobyły mu wzajemność najpiękniejszej z kobiet w całej okolicy. Była to młodziutka wdowa po hrabim Franciszku Bårdy, który ją odumareł, zostawiwszy jej synka, Zoltana, tudzież znaczne włości; te ostatnie wprawdzie należały do dziecka, ona jednakże miała na nich dożywocie i rządziła niemi samodzielnie, jako jedyna opiekunka małoletniego właściciela. Jenerał zaś nic nie posiadał, oprócz swojej pensyi wojskowej.

W drugim roku pożycia tego małżeństwa le-



karz domowy zaopiniował, że stan zdrowia baronowej pozwala spodziewać się w niedługim czasie radosnego faktu w rodzinie; wskutek tego poradził, aby wyjechała ze stolicy w wiejskie zacisze.

W dobrach hrabiów Bårdych znajdował się wspaniały zamek, wybudowany w stylu barokko, otoczony ślicznym parkiem, mającym bezpośrednią łączność z prastarą knieją, gdzie zamieszkiwały wszelkie, najrzadsze gatunki przytrafiającej się w naszej strefie zwierzyny. Knieję tę przerzynała w fantastyczne skręty pozwijana wstęga wartkiego potoku górskiego. Na wiosnę, gdy woda przybierała, spławiano po niej drzewo budulcowe; przy mniejszym stanie wody nad brzegami jej cienistych zatok Cyganie rozbijali sobie swoje nędzne namioty, dla płukania w zmaczonych falach piasku złotonośnego.

Tego lata, w którem opowieść nasza się rozpoczyna, z powodu wielkich upałów, mała ta rzeczka niemal zupełnie wyschła; dla Cyganów wynikła ztąd podwójna korzyść, bo nie tylko, że więcej piasku mieli do płukania, ale mogli sobie bezpłatnie budować chatynki, robić stołki i wszelki sprzęt domowy—o ile drzewo ku temu służyć mogło—z okazałych budulców, które po drodze na mieliźnie osiadły, nie zdążywszy przed suszą dopłynąć do miejsca przeznaczenia.

Stan baronowej Anny był już bardzo poważny. Jej mąż, generał, odwiedzał ją jak mógł najczęściej, o ile mu tylko służba na to pozwalała. O najtroskliwszej opiece i pomocy pomyślano zawczasu; w stajni dniem i nocą osiodłany czekał rączy wierzchowiec, na wypadek, jeżeliby trzeba było do miasta popędzić po lekarza, a w klatce niecierpliwie trzepotał się gołąb pocztowy, w każdej chwili

gotów radosną wiadomość zanieść generałowi do obozu.

Gołębiem tym opiekował się Jan, stary wier-ny hajduk, były huzar; umiejąc pisać, miał sam na-kreślić kilka słów, odpowiednich do przydarzonej sytuacji i z niemi czempredzej ptaka w lot wy-puścić.

Tymczasem nieprzychylny los tak pokierował, że w ostatnich już dniach, kiedy nadzieja z trwogą walczyła o lepsze w największym naprężeniu, jenerał otrzymał rozkaz od głównego sztabu udania się ze swojemi pułkami na uśmierzenie buntu chłop-skiego, który wybuchnął w sąsiednim komitacie. Rozkaz był nagły, nie cierpiący zwłoki, jenerałowi nie starczyło czasu na zawiadomienie żony, a może i umyślnie nie dał jej znać o tem, żeby jej oszczę-dzić wrażenia i niepokoju. Zresztą był mocno przekonany, że energicznie wystąpiwszy przeciwko buntownikom, w ciągu kilku dni najdalej załatwi się z zadaniem i stłumi niesforne rozruchy.

Jakoteż nie zawiódł się. Buntownicy na wi-dok pierwszego bagnetu uciekli do lasów, a główni hersztowie zostali ujęci przez huzarów.

Rozpędzona tłuszcza jednakże nie dała za wy-graną, lecz zawrzała gorącą zemstą przeciwko jenerałowi, a na to, żeby zemście tej dać wyraz w czy-nie, potrzebowała tylko przejść na drugą stronę przez grzbiet góry, po za którą, w dolinie, stał za-mek Bårdy'ch, miejsce pobytu żony jenerała...

Zamek ten, co prawda, zaopatrzony był w do-stateczną ilość służby, zdatnej do broni, która, gdy-by jednomyślnie chwyciła za oręż, mogłaby stawić napastnikom aż nadto skuteczny opór. Oprócz te-go i na wsi cała ludność kochała, czcila baronową Annę, mając w niej istnego anioła opiekuńczego.

Aliści nieszczęśliwy zbieg okoliczności zrządził

nieprzewidzianą zmianę w usposobieniu ludu miejscowego.

„Czarna zmora” pojawiła się i tutaj. Mężczyzna rano wychodził w pole zdrów i silny, wieczorem wracał do domu — trupem. I co mu zaszkodziło? Wypił tylko kieliszek wódki... Jakgdyby mu kto serce z piersi wyrwał. Wdowy łkaniem i żałami napęłniły wioskę. Przekleństwa na panów i Żydów sypały się bez miary.

Przerażenie i zawiść są zaraźliwe.

Potworne podejrzenie zaczęło kielkować nawet między służbą zamkową.

Z ust do ust krążyły szept.

Jenerał, jak zresztą i wielu innych panów, dbałych o zdrowie ludu w swoich posiadłościach, za poradą lekarza przysłał żonie z miasta jakieś lekarstwo, mające stanowić prezerwatywę od zaraży. Było ono bardzo gorzkie; zawierało w sobie chinę, hippekakuanę, aloes, opium i jeszcze jakieś inne ingrediencye. W mieście uważano to za bardzo skuteczny środek. Baronowa sama troskliwie udzielała tego lekarstwa domownikom, a także dbała o to, aby i na wsi ludność dostawała odpowiednie dozy.

I oto, z tego powodu przy pierwszym wypadku śmiertelnym rozpoczęły się szept, przy drugim, głośnie wymyślania, przy trzecim zaś, niby ryk jednolity, rozległo się oskarżenie, że państwo trują chłopów.

Na zamku podawano właśnie wieczerzę.

Baronowa siedziała za stołem w towarzystwie księdza, rządcy dóbr swoich, ochmistrzyni, oraz kilku innych kobiet, należących do obecnego składu domu. Stary hajduk, Jan, roznosił potrawy, małego synka, Zoltana, już spać odesłano.

Umieściwszy na stole półmisek z drugim da-



niem, hajduk szepnął coś do ucha baronowej. Ta wstała i grzecznie przeprosiwszy współbiesiadników, opuściła salę jadalną.

— Wszystko jest tak, jak przewidywałem—rzekł hajduk.—Wysłańcy opryszków zbuntowali nam nasz lud miejscowy; strzelcy w pobliskich lasach stoją już pod bronią, służba zamkowa, przerażona pogrózkami, za pierwszym strzałem pochowa się do piwnic.

— A stangreci?

— W tych znalazłoby się może jeszcze trochę ducha; ale jeżelibyśmy teraz powozem przez wieś wyruszyli, zatrzymałyby nas niebawem wzburzone tłumy.

— I czegoż oni żądają właściwie?

— Przedewszystkiem chcą zaspokoić nurtującą w nich chętkę rozboju i rabunku. Przywódcy ich jednakże mają oprócz tego jeszcze co innego na celu: pragną oni mianowicie dostać w swoje ręce ciebie samą, jaśnie pani baronowo, ażeby zagrozić jenerałowi, że na tobie zemszczą się okrutnie, jeżeli jenerał nie wypuścił na wolność, lecz powiesił ich towarzyszków, których wojsko jego wzięło w niewolę.

— Więc trzeba uciekać. Jak? gdzie? którą?

— Prosto ku kniei. Przez park droga jest swobodna, można się będzie niepostrzeżenie prześlizgnąć pod osłoną parkanu, odgraniczającego park od zwierzyńca. Buntownicy bowiem obrali sobie legowisko właśnie w zwierzyńcu. Ani przypuszczają, idyoci, że im się tuż pod nosem przemknimy. Równie z końcem parkanu zaczynają się wodorosłe, które minawszy, przybędziemy nad brzeg rzeki. Woda jest mała, z łatwością w bród ją przejdziemy, a potem ścieżką, wydeptaną przez paste-



rzy puścimy się w góry. Przed świtem staniemy w mieście.

— Żeby mi tylko sił stało!...

— Cóż znów, pani baronowo! Robiliśmy przecież razem nieraz jeszcze dalsze wycieczki piesze... Ale czas nagli. Niech jaśnie pani co ciepłego zarzuci na siebie i ruszajmy w drogę.

Baronowa pobiegła do swego pokoju, otulić się w lekki płaszcz letni. Mijając stoliczek, przy którym zwykła haftować, spostrzegła rozłożone na nim świeżo wykończone ubranka, skrajane na jakąś bardzo miniaturową osóbkę: tknęło ją przecucie. Powijaczek, koszulkę i czepeczek zwinawszy naprędce w węzełek, ukryła pod płaszczem i co tchu powróciła do sieni.

— A Zoltan?—spytała.

— Ubrany, czeka na nas przy bocznych schodach.

— Mamyż broń jaką?

— Ja mam dwa pistolety, a mały hrabia strzelbę.

— To dziecko jeszcze.

— Hoho! Paniczek dziecko, lecz lepiej strzełz, niż niejeden dorosły. Toć polował już z nami na niedźwiedzia. Spieszmy się, pani baronowo!

— Jeszcze zawiadomić trzeba tych, którzy przy wieczerzy zostali.

— Na Boga! Niech jaśnie pani pozbędzie się całkiem zbytecznych skrupułów. Dowiedziawszy się o tem, co tu grozi, każdy chciałby razem z nami uciekać i powstałby z tego taki ładny narmider, że wszyscy zostalibyśmy ujęci. Zresztą, jest książd i ten ich obroni przed wściekłością tłuszczy.

To rzekłszy, wierny sługa uchwycił swoją panią za rękę i przemocą niemal wyciągnął ją z sien.

na boczne schody, z kąd dostali się do drzwi werandy, stanowiącej wyjście na park.

Tam oczekiwał na nich mały hrabia Zoltan. Przez ramię miał przerzuconą strzelbę, a w ręku trzymał dwa kosztury.

— Bierz, mateńko — rzekł, jeden z koszturów podając matce. — Jan będzie szedł naprzód, ty w środku, a ja za tobą.

Zanim zeszli z ganku na taras, wpierw, ukryci za filarami, rozejrzeli się bacznie dokoła, czy ich kto nie śledzi. Ale pusto było i cicho, mogli iść bezpiecznie.

Niebo zdawało się sprzyjać ich ucieczce: posępne, zachmurzone, nie użyczało ziemi ani odrobiny światła, a wiatr, szeleszcząc bujną roślinnością parku, głuszył odgłos ich kroków.

Szybko minęli żwirem wysypaną aleję parku i dosięgli parkanu, stanowiącego granicę zwierzyńca, a ciągnącego się aż do miejsca, gdzie panowanie swoje rozpoczynały gęste wodorosle. Obok parkanu łatwo było iść wąską, ale wygodną ścieżyną, wydeptaną przez kobiety, chodzące tędy rwać owoc do pobliskiego sadu.

Tylko taki doświadczony huzar, jakim był Janhajduk, mógł wpaść na tak niesłychanie zuchwały pomysł, żeby tuż pod bokiem wroga obierać sobie drogę ucieczki, a jednak to właśnie było najbezpieczniejsze, ponieważ zuchwalstwa tego nikt z buntowników nie przewidywał.

Na stokach gór pobliskich, pomiędzy lasami, coraz wybliskiwały nowe ogniska, rozniecane dla dawania sobie sygnałów przez opryszków, których ciemne sylwetki, żwawo gestykulujące, rysowały się wyraźnie na jaskrawem tle stosów.

U węgła parkanu trzeba było zeskoczyć w głębokie wodorosły.

Po dniu mogło to być nawet przyjemnie brnąć pomiędzy kamieniami, obrosłemi wysoką paprocią i sederyndą; lecz po nocy, w ciemności, gdy spieszyć się było trzeba, rośliny te stanowiły nieznośne przeszkody. Niepodobna było przewidzieć, co się ma przed sobą: górkę, dół, czy kamień?

Zaczęło się błyskać. Błyskawica olśniewa, nie oświetlając.

Stary hajduk jednakże umiał znaleźć sposób na wszystko.

Zapałek naówczas jeszcze świat nie znał.

Ale zato istniała skałka i krzesiwo.

Jan zaczął krzesać co chwila, a iskry oświeślały drogę na kilka kroków; Zoltan zaś podał matce rękę i strzegł ją od upadku lub stoczenia się z jakiego okrągłego kamienia.

Tak z trudem i móżolem dosięgli nareszcie końca wodorosli.

— Jeszcze tylko chwilkę cierpliwości, pani baronowo—uspokajał hajduk.— Po tamtej stronie rzeczki będziemy mogli trochę odpocząć, a zbliżamy się już do niej. Widać już nawet „skamieniałego mnicha”, który stoi nad samym brzegiem. A teraz drogę mamy jak ubitą, z samego żwiru.

Tylko, że na nieszczęście, tyle skoków, wspaniałych wysiłków, nie mogło ujść bezkarnie żonie generała.

— Już nie mogę iść dalej...—wyszeptała, opierając się o jesion.—Tchu mi brakuje...

Zdawało się, że zemdleje.

— Ot, tylko jeszcze tego brakowało! — zaklął hajduk.

Lecz nie namyślając się długo, porwał biedną kobietę na ręce i w samą porę, bo właśnie utraciła przytomność.

— No, paniczu, teraz ty bierz skałkę i krze-



siwo i świeć nam starannie, bo gdybym ja się obecnie przewrócił, upadlibyśmy we troje!

I tak, śpiesznie, o ile było możebnem, stąpali dalej: naprzód szło dziecko, świecąc iskrami, za niem hajduk z zemdloną baronową na ręku.

Minęli „skamieniałego mnicha”, słyhać już było szmer potoku, żwir pod nogami stawał się coraz bardziej mialki.

I niebo się też wypogodziło, burza przeszła stroną. Księżyc pełnem światłem oblewał okolicę. Hajduk wiedział, że tu gdzieś, w pobliżu, znajduje się lepianka jednego z przepłukiwaczy złota, Cygana; tam skierował kroki.

---



## ROZDZIAŁ II.

---

### W lepiance cygańskiej.

Wodorośle zajmowały głęboką wklęsłość, wyszarpaną w stoku jednej z gór, a kończyły się nieopodal od potoku, ku któremu grunt coraz niżej się spuszczał, zasypany był skalistemi gruzami, tudzież żwirowym miałem; rósł tu już tylko gatunek piwonii, okrągłolistny i bujnym obdarzony kwiatem, lubiący to pełne wdzięku, lecz dzikie otoczenie.

Potok w tem miejscu zakręcał się nagle: z przeciwnej strony podrywał wysoką, bazaltową skałę, z tego zaś brzegu pustką zostawiał dosyć obszerną, szarą mieliznę.

Na mieliźnie tej przywykło gospodarować liczne ptactwo wodne: bociany, rybitwy, czaple łowiły sobie tutaj ryby w płytkiej wodzie, ku wielkiej nieraz pociesze zabawiających się polowaniem. Żyły sobie tu zgodnie, nie lękając się wcale widoku bosego człowieka, który po drugiej stronie zakrętu zajmował się zaczerpywaniem szlamu łopata w nieckę, i przepłukiwaniem go w długim korycie. I cygan i ptactwo oswoili się już wzajemnie z sobą.

Taki przepłukiwacz złota płacił państwu 1 złr.

rocznej dzierżawy, a i ta skromna kwota wracała mu się z nakładem w postaci różnych podarunków i udogodnień, jakich doznawał.

Wybudował sobie lepiankę o kilkanaście kroków od wody: właściwie jednak była ona przez pół darem losu, przez drugą połowę zaś — darem walki przyrody. Wzniesiona z prostych palów budulcowego drzewa, które, pławione górskim potokiem, z powodu suszy po drodze osiadło w pobliżu tych stron na mieliźnie, strzechę miała skleconą z pęków trzciny wodnej, powiązanych ze sobą, zaś miejsce pobielenia lub tynku z niemałym powodzeniem zastępowały obwite zwoje powojów i sederyndy, pnących się dokoła lepianki i zdobiących jej ściany mnóstwem barwnego kwiecica. Jedynym śladem, że nie tylko natura, ale przecież i ludzie także myślą tutaj o tem, ażeby mieć z ziemi jakiś pożytek, była niewielka plantacya dyń, których żółte kwiaty jaśniały teraz w świetle księżyca, jak słabo rozżarzone pochodnie, odrzynając się wyraźnie od otaczającej je, niemal czarnej zieleni liści. Drogo-cenna to roślina dla cyganów! Te ogromne, nakształt turbanów wydęte owoce, spuszczone z wysoka zarumienione głowy, stanowią prawie jedyną żywność cygańskiej rodziny przez trwanie całej zimy.

Cygan ma i żonę.

Więc musi mieć i dziecko. Oboje młodzi...

Hajduk Jan był z nimi w bardzo dobrych stosunkach: przynosił im nieraz niejedno z zamku. Baronowa bardzo im sprzyjała.

Pocziwy ten cygan nazywał się „Tatarka”.

Osobliwe imię, nieprawdaż? Ha, cóż robić, trudno. *Ryżem* nazywać się nie mógł, gdyż jest to przysmak tylko na wielko-pańskie stoły, dla biedaków dobra i tatarka. Niechby tylko jej pod-

ostatkiem mieli! Słowem — imię w sam raz dla cygana.

Młody hrabia Zoltan także znał dobrze tych ludzi; nieraz tu zachodził strzelać czaple, a po polowaniu zasiadał z cyganami do wspólnej uczty. Cygan przyrządzał ryby wielce smakowite, a młody hrabia sam przypiekał słoninę.

Znając miejscowość, pospieszył też teraz Zoltan naprzód ku lepiance, aby przywołać cygana i jego żonę na pomoc.

Hajduk Jan z drogocennym ciężarem na ręku musiał kroczyć powoli i uważnie. Zmęczył się też bardzo, nieborak, i musiał kilka razy przystawać dla odpoczynku. Na noszach, naprędce skleconych z gałęzi, a nadewszystko z pomocą drugiego mężczyzny byłoby mu o wiele łatwiej nieść nieprzytomną baronową; dlatego też wyprawił Zoltana do Tatarki, aby go sprowadził.

Przybywszy nad zatokę, oświetloną w tej chwili jasnymi promieniami księżyca, chłopiec drgnął i osłupiał w pierwszej chwili na niespodziewany widok, jaki się przedstawił jego oczom.

Kiedy indziej—czy to po dniu, czy po nocy, wybrzeże roiło się zazwyczaj od wodnego ptactwa, które i przy księżycu częstokroć czatuje na ryby, stanowiące jego żer ulubiony, tym razem wszakże panowała tu martwa cisza i spokój. Ptactwo było, ale nieruchome, nieżywe; rozrzucone po ziemi, wałowało się w nieładzie, ze stężonemi skrzydłami i wyciągniętymi naksztalt twardych patyków nogami.

Co im się stało, tym biednym ptaszkom?...

Stało im się to, że i one nie uniknęły zabójczego tchnienia czarnej zmary. Gdziekolwiek cholera zapanuje, tam sroki, kawki, wszelkie ptactwo wodne—pada jak zatrute. Nawet skrzydlate stworzenia uciec przed nią nie mogą! Cholera jeszcze



wyżej, niż one, w przestworzach się wzbija, aż pod strop nieba sięgać się ośmiela swoją potworną głową!

Zoltan poszedł ku lepiance.

Przed drzwiami, wpoprzek, leżał pod gołym niebem cygan, rozciągnięty na macie. Nie spał, oczy miał otwarte. Pomimo to nie zerwał się na powitanie hrabiczka, chociaż ten bardzo uprzejmie go pozdrowił.

— Co tu robisz, Tatarko?

— Umieram—brzmiała odpowiedź cygana, wygłoszona szeptem jakimś gardłowym, jakgdyby wydobywającym się z pod ziemi.

— Dlaczego?!...

— Bo „Dewla” woła. Już idę. Jestem w drodze.

— Co ci się stało?

— Tknęła mnie „dżuma”. W południe uczułem jej kościste palce, a pod wieczór skończyła mnie dusić.

— Czy cię co boli?

— Teraz już mnie nic nie boli. Już oddałem ducha. Oh, jak to trudno! Przeklinałem chwilę mego urodzenia.—Byłem ślepy, byłem głuchy... Tylko czułem wszędzie ból okrutny. Teraz już po wszystkim, już mnie nic nie boli. Znów słyszę i widzę wszystko, dokucza mi tylko szalona bojaźń. Buja nademną nietoperz—wielki jak gryf ze szponami, i szepce mi złowrogo do ucha: „nie zobaczysz już nigdy, nie doczekasz porannej jutrzynki, Tatarko!” O, ciągle go słyszę, powtarza to bez przerwy...

— A gdzież żona twoja?

— W lepiance.

— Czemu nie przy tobie? Powinna cię pielegnować.

— Cóż, kiedy akurat... *koło jej się złamało.*

Przenośni tej, używanej w języku ludu prostego, nie rozumiał paniczek.

Przysunął się do drzwi lepianki i wspiał się na palce, chcąc je otworzyć i przywołać cygankę.

Naraz z wnętrza dobiegł uszu jego cichutki, słaby płacz dziecka, cofnął się zdumiony.

— Tam jest jakieś dziecko!

— A jest.

— Zkąd się wzięło u was?...

— A przyniósł je bocian, ten sam, który tam leży nieopodal martwy. I jego tchnęła dżuma. I ptactwo zdycha, gdy dżuma na nie dmuchnie; wrony, czaple, jak grad spadają na ziemię. Głupie chłopstwo warczy, że panowie sprzysięgli się na jego zgubę: niechże spojrzy dokoła i niech pomyśli trzeźwo, czy i ptaki, latające w powietrzu, także padają od trucizny, zadanej przez zawistnych ludzi? Oj, nie, niestety! Jest to tchnienie dżumy. Czuję ją w końcach moich palców: nie jest zimną, nie parzy, nie łaskocze i nie boli—a jednakże ją czuję. I oddechem ją odczuwam, chociaż nie śmierdzi ani pachnie, i w ustach ją przeżuwam, ani słodka ani gorzka—a jednak śmiertelna! Zamknij usta mały hrabio, ażebyś i ty jej nie przejął!

Tu nadszedł Jan, hajduk. Tak się spieszył, taki był zmęczony, że z obu stron po czole spływały mu grube krople potu.

— Prędko, prędko niech panicz drzwi otwiera!—zawołał na Zoltana,

— Tatarka umiera...—wyjąkał Zoltan.

— Co mi do Tatarki! Pani baronowa chora, o niej trzeba myśleć. Przeczuwałem, że się na tem skończy!

Jednym skokiem przesadził umierającego, wepchnął drzwi lepianki do środka i wniósł baronową,

która nieprzytomna, z głową w tył przegiętą, szeroko otwartymi ustami i oczami, zamiatała ziemię bujną falą rozplecionych włosów.

Z wnętrza dał się słyszeć okrzyk przerażenia młodej cyganki: „Jezus Marya!” Potem zabrzmiały mrukliwe słowa hajduka i chorej baronowej.

Po kilku chwilach Jan opuścił lepiankę.

— Śpieszmy się paniczku, śpieszmy! zanim nas dzień nie zaskoczy.

— A mama?

Mama tutaj zostanie, jest chora, nie może z nami iść dalej.

— To i ja zostanę przy mamie.—Będę jej bronił, jeżeliby jej się miało stać co złego.

— Lepiej, niż cały pułk żołnierzy, obroni ją przed zbirami ten cygan; umierający tu przed drzwiami na zarazę. Na jego widok, opryszkowie wezmą nogi za pas i drapną gdzie pieprz rośnie.

— Ale przecież niepodobna mamy tutaj samej zostawiać! Jest chora, zemdlona...

— Na to ani ja, ani paniczek nie nie pomożemy. Niema tu dla nas miejsca: Nie rozumie panicz? Chodźmy, Im prędzej przybędziemy do obozu, tem prędzej będziemy tu mogli powrócić ze zbrojną pomocą. Jak się pośpieszymy—to kto wie? niedaleko już ztąd mamy—może nam się uda uprzedzić tu z żołnierzami tych chłystków.

Ten argument poskutkował nareszcie. Zoltan schwycił strzelbę i pobiegł za hajdukiem.

Tuż przy brzegu, nieopodal od lepianki, do palika przywiązane, kołysało się na falach zawsze wielkiego, chociaż nawpół wysuszonego przez upały potoku, małe czółenko, sklecone z wierzbowego drzewa; przepawali się niem we dwóch na drugi brzeg, gdzie wyskoczywszy, zniknęli niebawem na zakręcie w gąszczu zieleni, obrosłej ścieżyny, wiodącej



pod górę, ku jednemu z najwydatniejszych w tej okolicy szczytów.

Konający przed progiem swojej lepianki cygan mruczał coś sam do siebie pod nosem.

— Przedtem zupełnie nic nie widziałem i nic nie słyszałem—a teraz zato podwójnie wszystko widzę i podwójnie słyszę. Przecież nad każdym umierającym tylko jeden nietoperz krąży, a ja ich dwóch widzę nad sobą! Co zaś jeszcze dziwniejsze, to to, że w mojej budzie słyszę najwyraźniej jakgdyby płacz dwóch dzieciaków.—Słuchaj, ty, Manga!

Pięścią wałnął we drzwi.

Na to drzwi uchyliły się ostrożnie i wyrzał przez nie kudłaty łeb kobiety, ozdobiony czarną, ale nieszpętną twarzą typowej cyganki.

— Czego chcesz, mój skarbie?—zapytała,

— Zostaw drzwi otworem!...—jęknął umierający, dzwoniąc zębami.

— Nie można, bo wejrzą do środka.

— Kto wejrzy?

— A ot, te!—odparła kobieta, wskazując ręką na migotliwą gwiazdę na niebie.—„Oczy Dewli!”

— Prawda: oczy Dewli. A cóżby one zobaczyły? Co ty tam robisz w budzie?

— Kąpię dzieciaki.

— Co?! I dzieciaków dwoje?...

— Jeden cyganiak a drugi baroniak.

— Co ty mówisz?

Konający chciał się uśmiechnąć. Zrobił taki dziwny grymas, że można byłoby się zaśmiewać z nieboraka. Bywają czasem takie żarty na świecie.

— Chłopak?—zapytał szeptem.

— A cóżby miało być innego?

— Pokaż mi go!

— Zaraz, tylko go spowinę.

— Ale śpiesz się, bo długo nie wytrzymam. Już mię biorą!

— Nie bój się, wytrzymasz. A może chcesz czego, mój drogi skarbie?

— Aj, żebym ja choć raz jeszcze napił się do syta kwasu ogórkowego!

— Zaraz ci przyniosę, moje złoto. Jakżesz miałabym ci nie dać tego, na co masz ochotę!

Znikła za drzwiami, ale w chwilę potem ukazała się znowu z całą dzieżką kwaszonych ogórków w rękach, uklękła przy mężu, uniosła mu głowę i wsparła ją o swoje kolana, a przytknąwszy mu brzeg dzieżki do ust, napoiła go orzeźwiającym płynem.

— Oj dobre, dobre! — przychwalał chory. — Tak mi jest po tem, jakgdyby do moich żył nowe napłynęło życie. A teraz idź do dziecka i śpiesz się.

Cyganka weszła do lepianki, starannie drzwi za sobą zamykając. Co ona tam robi tak długo? To już jej rzecz. Zresztą nic dziwnego. I drugiemu dziecku musiała zastępować matkę, ta bowiem ciągle w omdleniu leżała i żadnym sposobem nie podobna jej było wrócić do przytomności.

Tatarka tymczasem targował się o chwilę z czychającym na niego nietoperzem.

— Precz zmorol... Nie bierz mnie, dopóki nie zobaczę mojego cyganiaka! Jedyne go aniołka mojego. Mojego ukochania. Jak go tylko ujrzę — dam ci się wziąć natychmiast. Lekki już jestem, jak liść zeschnięty, który z drzewa ma opaść... Hej, Mango! Mango!

Już nie pukał do drzwi, jak poprzednim razem, uszła mu już władza z rąk i nóg, tylko mu jeszcze przytomność i słaby głos pozostały.

Nakoniec drzwi skrzypnęły i wychyliła się przez nie cyganka z nowonarodzonym dzieciątkiem na rę-

ku. Maleństwo było starannie spowinięte i czepeczek miało na główce; w pierwszych chwilach po urodzeniu wszystkie dzieci są tak jednakowe, że ktoby tam odgadł, które Bóg zesłał chłopu, które panu, a które cyganowi?... Ale powijaczek dziecka, który cyganka pokazywała mężowi, był z najcieńszego batystu, czepeczek zaś—jedwabny.

— Spójrzij na niego—szepnęła kobieta, przybliżając dziecko do oczu męża—ale niech cię ręka Boża broni, żebyś go dotknął!

Twarz Tatarki skurczyła się radością i zachwytem; bielmem zachodzące oczy wydały srebrzyste jakieś blaski, z wysiłkiem szeroko roztworzywszy usta, modlić się zaczął po cygańsku.

...*Amaro dâde...*

Doprowadził głośno modlitwę aż do samego amen.

Potem głęboko i boleśnie westchnął.

— Biedny mój robaczku! I któż będzie myślał o tobie, jak mnie nie stanie? Czy nie zamrzesz z głodu.

W odpowiedzi na to matka uśmiechnęła się przebiegle i szepnęła ledwie dosłyszalnym głosem:

— Przypatrz się tylko, jaki śliczny czepeczek jedwabny ma nasz synek na głowie! Jaki cieniutki batystowy powijak okryłam mu koło ciała!

Konającemu raz jeszcze rozwidniło się w mózgu; do odlotu gotująca się dusza jeszcze raz powstrzymała się od przestąpienia progów wieczności. Z ostatecznym wysiłkiem szepnął głosem, który zabrzmiał tak, jakgdyby pochodził zdaleka, już z bardzo daleka:

— Zkąd to wzięłaś?...

Cyganka, w obydwóch rękach trzymając dziecko, uniosła je wysoko nad głowę, ruchem tryumfu i radości.



— Ho ho! Twój syn będzie wielkim panem! Jaśnie wielmożnym, bogatym ekscelencyą! Nigdy na niczem nie będzie mu zbywało!

Konającym wstrząsnęły konwulsye: oczy wyrócił tak, że same tylko białka odrzynały się jaskrawo od czarnej jego cery.

— Mango! ty!... — wydał charczenie przejmujące zgrozą, ale myśli swojej dopowiedzieć już nie zdołał.

— Cyt! ani słowa...—tajemniczo szepnęła pochylona nad nim kobieta, zasłaniając mu usta dłonią.—O tem, co wiesz, nic nie mów tam, w niebie, świętemu Piotrowi, jeżeli cię zapyta...

Cygan zacharczał, zarzęzał, wyprężył się i zwinął w kłęb, jak świstak, gotujący się do snu zimowego. Tym razem śmierć nie wypuściła już swojej ofiary.

Kobieta odniosła dziecko do lepianki, poczem wróciwszy, zamknęła umarłemu oczy, na każdym z nich położyła po miedzianym dwugroszniaku, a brodę mu podwiązała, aby usta nie były otwarte. Następnie wyprostowała mu kurczowo poskręcane ręce i nogi, umyła go starannie, okryła całunem, dłonie splotła mu na piersiach i włożyła w nie mały, miedziany krzyżyk.

Potem znów cofnęła się do lepianki, dokąd przywoływał ją rzewny płacz obojga nowonarodzonych dziecin, dopominających się już widocznie pierwszego w życiu posiłku.

Inne kobiety w podobnych razach same leżą, jak bez życia...

Lecz w lepiance stało tylko jedno łóżko, a to zajmowała obecnie jaśnie wielmożna pani baronowa. Nieszczęśliwa kobieta istotnie była blizką śmierci. Cyganka nie tylko obadwa maleństwa, ale i ją pie-

lęgnować musiała troskliwie, o sobie samej nie miała czasu myśleć.

Niebawem dzień zaczęło. Manga wyszła do lasu poszukać ziół leczniczych: czarnego korzenia pijawkowego, wybornego na tamowanie krwi, zrywała też napotykaną po drodze szaleję i cykutę, tudzież posilny i orzeźwiający korzeń palczatkowy. Środki te, które przyroda sama ludziom zsyła, dobrze są znane cygankom, i z powodzeniem przez nie aplikowane. Nie zapomniała Manga i o malinach; napełniła nimi całą kobiałkę, ażeby odwarem z nich napoić chorą baronową.

Gdy wróciła ze swojej niedalekiej wycieczki, zastała jeśnie wielmożną panią w innej fazie niemocy. Omdlenie ustąpiło miejsca malignie. Manga tak długo ją nacierała i okładała cudownemi ziołami, dopóki się nie uspokoiła i nie zasnęła, wypiszy jeszcze przedtem kubek malinowego soku.

Potem nareszcie uznała Manga, że przyszła kolej pomyśleć trochę i o sobie samej. Rozniecila ogień i przyrzadziła sobie smaczną polewkę z kukurydzowej maki. Zjadła ją sumiennie co do ostatniej kropli, w tem przeświadczeniu, że spełniła tem samem ważny obowiązek, ponieważ kobieta, która musi karmić aż dwoje dzieci naraz, powinna i sama również odżywiać się w dwójnasób, ażeby dzieciom pokarmu nie zbrakło. Polewkę byłaby chętnie jeszcze popiła kwasem ogórkowym, wszak stała obok niej pełna dzieżka tego przysmaku, lecz nie—rozmyśliła się i zostawiła dzieżkę w spokoju. Tartarka tak lubił ogórki! Zabierze je z sobą do grobu, aby się miał czem raczyć przez całą wieczność.

Na odpoczynek jednakże nie było czasu. Posiliwszy się, wzięła pilę, tudzież toporek i wyszła na dwór, aby z dwóch desek przyrzadzić trumnę dla swojego skarbu.

Przed wschodem słońca jeszcze ukończywszy to dzieło, znów zajrzała do lepianki, nakarmiła obydwóch malców, jaśnie wielmożnej pani, która się przebudziła, roztarła ręce i nogi, od czego chora napowrót zasnęła głęboko.

Tymczasem słońce zaczęło się już wychylać z po za gór: pomimo pogody niebo nie było błękitne, lecz żółtawo-sine, mętne, jak wogóle przez całe to lato, odkąd cholera panować zaczęła w kraju.

Nagle cygance myśl jakaś błysnęła—rzuciła się szybko do jej wykonania.

Wyszukała dwie wydrażone i zeszlę, na kształt twardych półkuli, łupiny od dyń, związane jedna z drugą szpagatem z włosienia.

Uzbrojona w to osobliwsze narzędzie, wyszła z lepianki i skierowała się ku rzeczce, tam mianowicie, gdzie rozkopana ziemia świadczyła, że są tam szybiki poszukiwalne, w których zwykł się być grzebać jej mąż, przepłukiwacz złota.

Na miękkim wilgotnym zwirze nadbrzeżnym znaczyły się ślady dwóch par nóg: duże znaki stóp hajduka i drobne, zgrabne — małego hrabiczka. Znać było nawet co krok ostrogi od butów starego Jana.

Cyganka z najściślejszą dokładnością stawiając swoje bose stopy w ślady hajduka, nadała im zupełnie inny wygląd.

Przybywszy nad brzeg potoku, zrzuciła ubranie, a przywiązawszy sobie do ramion owe dwie wydrażone łupiny, z ich pomocą, bez wysiłku utrzymując się na powierzchni wody, z łatwością przepłynęła na drugi brzeg; tam wskoczyła do łódki, którą Jan i Zoltan porzucili uchodząc, i przypłynawszy napowrót, uwiązała ją w zwykłym miejscu do palika.

Ubrawszy się, wracając do lepianki, starała się



w ślady Zoltana wstępować, więc też nikt nie byłby mógł poznać, że prócz niej samej, kto inny jeszcze tędy przechodził.

Pokazało się niebawem, że przebiegłość Man-gi nie była zbyt cenną.

Zaledwie przez kilka chwil zdołała odpocząć w lepiance, gdy knieja rozbrzmiewać zaczęła tysięcznem echem tumultu, okrzyków, nieopisanego jakiegoś zgiełku.

Wiedziała cyganka, co to znaczy. To buntownicy, napadłszy o świcie zamek i nie znalazłszy tam baronowej, ani jej syna, rozbiegli się na wszystkie strony w pogon za nimi, na poszukiwanie. Jeden z ich oddziałów znalazł się niebawem przed lepianką.

Opryszkowie zastali już Mangę przed drzwiami, na dworzu. Na rękę trzymała jedno z maleństw (to, które było spowinięte w lachmany) i klęcząc z niem przed umarłym swoim mężem, w niebogłosy zawodziła i zanosila się od płaczu.

Rabusie stanęli, jak wryci, na ten widok. Trup i płacząca nad nim kobieta!

Przezorna Manga, która dotychczas umiejętnie powstrzymywała łzy i żale, teraz zato z całą swobodą puściła im drogę. Nie płakała dopóki była samą, tylko z dziećmi i nieprzytomną panią; ale, uzyskawszy naraz kilkunastu widzów, audytoryum, złożone z szubieniczników i rozbójników, wystąpiła z nieporównanym koncertem wycia, lamentów i wyrwania włosów.

Żaden z opryszków nie śmiał bliżej do niej przystąpić: co jak co, ale dżuma potrafi wzbudzać uszanowanie.

Cyganka zaczęła prosić, ażeby zacni, godni panowie, którzy o tak wczesnej porze dnia raczyli zajrzeć do tego ustronia, pomogli jej przystojny po-

grzeb wyprawić mężowi, ona sama bowiem nie ma dosyć siły do zaciągnięcia trumny do grobu. Grób już jest gotów, można będzie pochować nieboszczyka w rowie, który sam rozkopał, poszukując złota...

A jakże! Zacni i godni panowie ani myśleli przychylić się do prośby. Od warownej twierdzy silniejszą czynił tę marną lepiankę grozą wstrząsający widok trupa, leżącego przed drzwiami.

Zdaleka tylko, z przyzwoitej odległości, zaczęli wypytывать cygankę o baronową i jej syna, tudzież o towarzyszącego im prawdopodobnie hajduka.

Za całą odpowiedź — jęła przeklinać swoje oczy, jeżeli kiedykolwiek w życiu zdarzyło jej się ich widzieć.

Istotnie, na miękkim, mialkim zwirze nigdzie nie mogli dostrzedz śladów, aby poszukiwane osoby tędy przechodziły.

Manga, chcąc ich ostatecznie odstraszyć, uczyniła im przyjemną propozycję, ażeby wzięli do siebie jej małego dzieciaka. Niechaj go zabiorą, skoro już Dewla zabrała jego ojca! No, ale rzecz prosta, ani słuchać o tem nie chcieli; na znak niezadowolenia i groźby wystrzelili w powietrze i złorzeczając, przeklinając na czem świat stoi, cofnęli się do lasu.

Manga, tym razem już na dobre uspokojona, skryła się do lepianki, a uśpiwszy obydwóch malców w jednej kołysce, sama legła na podłodze i zasnęła twardo.

Pod wieczór stokiem góry, wznoszącej się na przeciwko, nadciągnął oddział huzarów; przepłynęli potok, a przy nich znajdował się i Jan hajduk, oraz mały hrabia.

Lecz baronowa Anna nie poznawała nikogo, a lekarz wojskowy zaopiniował, iż wpadła w gorączkę tyfoidalną.

Ułożono ją na możliwie wygodnych noszach i zanesiono razem z dzieciątkiem do zamku, z kąd już poprzednio żołnierze wypłoszyli plądrujący motłoch.

Tatarce wyprawiono przyzwoity pogrzeb: cygańskim obyczajem włożono mu do grobu jego ulubione sprzęty, talerz, nóż i jadło.

Mangę, w nagrodę za zasługi, jakie położyła przy chorej pani, generał wziął do zamku na mamkę do małego paniczka, a nadto przyrzekł solennie i o jej cyganiątku myśleć teraz, a także w przyszłości dbać o nie, jak gdyby było jego własnem dzieckiem.

Więc Manga w wygodach i poważaniu zamieszkała przy państwu: latem przebywała na zamku, a zimą w pałacu w stolicy dopóty, dopóki jej syn nie był zdolny sam zarobkować na nią i na siebie, która to epoka u cyganów zaczyna się między szóstym a siódmym rokiem życia.

---



## ROZDZIAŁ III.

### Ojco bójca.

Od owej pory minęło lat dwadzieścia dwa, czyli—ściślej mówiąc—rozpoczął się rok 1853.

Przez ten czas tak długi niejedno zmieniło się na świecie: dzieci powyrastały na ludzi, młodzieńcom siwizną wiek przypruszył włosy, niejeden potężny magnat w nędzy pędził życie na dalekiem wygnaniu, wszyscy zaś butni pankowie, owa szlachta niepodległa, dziwną metamorfozą dziejową przemienieni zostali w pospolitych obywateli, zmuszonych płacić stale prawem przepisane podatki. Węgry otrzymały tytuł „Kronland'u,” podzielonego na Kreis'y, Bezirk'i... Urzędników honorowano mianem Bezirker'ów.

Honorowano ich—ale tylko zdaleka, w pewnej odległości. Już to osobliwszą popularnością — nie można powiedzieć, aby się cieszyli. Nawet mało który Węgier podejmował się być urzędnikiem; najczęściej otrzymywali nominację na te posady Cześci, albo Morawianie. Wszystko szło po niemiecku, w dyrekcyi, w sądownictwie—i wszędzie.

Właśnie w tych dniach wybalotowano barona

Szymona Lenke z kasyna obywatelskiego zato, że podjął się pełnić obowiązki sekretarza przy naczelniku Bezirku.

Ale pan Szymon Lenke niewiele się troszczył o *aura popularis*.

I to nawet nie było dla niego tajemnicą, że prawie nikt go nie nazywał baronem Lenke, ale „ojcobójcą” — *Vatermörder'em*...

Trzeba dodać, że na ten sympatyczny pseudonim w całość pełni zasłużył.

Ojciec jego, dzielny generał Wawrzyniec Lenke, oddał go jeszcze we wczesnem stosunkowo dzieciństwie, gdy miał lat dziesięć, do szkoły wojennej kadetów w Wiener-Neustadt, ponieważ z młodym paniczem trudno było wytrzymać w domu; nikt rady mu dać nie mógł. Tam przesiedział do siedemnastego roku życia; już miał skończyć szkołę i wystąpić w stopniu lejtnanta, gdy naraz wydalony został ztamtąd — za tchórzostwo. Niesłychana rzecz! I okropna. Jedyne potomek zacnego, starego rodu Lenke — na samym progu życia, tak haniebnie napiętnowany za brak odwagi!... Wszyscy jego przodkowie byli dzielnymi rycerzami! Niemila ta nowina spowodowała lekkie sparaliżowanie ręki i nogi starego generała; musiał się nieborak podać do dymisyi.

Wobec tego nie było innej rady, jak kierować młodego barona na drogę cywilną; wysłano go do jednego z pierwszorzędných uniwersytetów niemieckich, gdzie przyznać trzeba, że uczył się nieźle, nie będąc pozbawiony zdolności. Cóż, kiedy po niejakiem czasie i ztamtąd go wypędzono za—donosicielstwo... Za najpodlejszą ze wszystkich zbrodni! Za zdradę! Po kim on, u licha, mógł odziedziczyć takie piękne skłonności? Tym razem starego generała tknęła apopleksya i zabiła go na miejscu.

Oto za co pan Szymon został nazwany „ojcóbójcą” i za co nikt go inaczej (naturalnie po za oczami) nie tytułuje.

On zaś — jak gdyby jeszcze bardziej chciał wyzywać opinię publiczną, na złość zaczął nosić olbrzymie, na kamień skrochmalone kołnierzyki, pod-rzynające uszy, o których mówiono powszechnie, że są *ratermörderisch...* Wszyscy w mieście poznawali go po tych kołnierzach.

Wiedział dobrze i o tem również, że kto może — stara się go unikać, omijać; ale nie bolało go to wcale, nie miał ochoty być sympatycznym. Nawet względem rodzonej matki nie bywał uprzejmy; raczej szczycił się tem, szukał w tem pewnego rodzaju chluby, że i dla niej, tak jak dla nikogo — w niczem nigdy nie robi wyjątku. A jednak była to rzeczywiście jedyna istota na świecie, która go kochała.

Po raz wtóry w swoim życiu owdowiała, baronowa zajmowała piękny lokal w pałacu, odziedziczonym po pierwszym swoim mężu. Należał on właściwie do starszego jej syna, hrabiego Zoltana Bårdy, ten jednakowoż, kochając matkę nad życie, ją uznawał za samowładną panią swego domu, a sam zadowalał się skromnem, kawalerskiem mieszkaniem, do którego wiodła osobna klatka schodowa. Zadnych lokatorów, sklepów w pałacu nie bywało, nigdy szyld nie zawisł na jego murach. Dopiero młody baron Lenke pierwszy wprowadził do tego domu żywioł publiczny, w postaci biura *Bezirk's Sekretaryatu*. Sfery wyższe zażądały tego, więc nie mógł im odmówić. Gubernator miejscowy znany był jako człowiek żelazno-ręki.

Umeblowanie urzędowego pokoju pana sekretarza stanowiło dziwną wiązanke sprzętów rzeczywi-



ście pięknych, a nawet wartościowych, z najlichszą tandetą. U drzwi i okien zwieszały się firanki z kosztownego brokatu; przy stoliczkach z weneckiego marmuru stały krzesła, kryte wyciskaną skórą, dalej zaś lekkie, trzcinowe; przy ścianach arogancko wznosiły się ordynarnie lakierowane szafy, z nigdy nie podomykanymi szufladami, pełnymi zapisanych papierów, aktów różnej treści; na mahoniowym biurku walał się brzydki, niekształtny kałamarz ołowiany, tudzież krzyż mosiężny. Obok biurka, na podłodze, niby moloch ciągłych żądny ofiar, roztwierał swoją paszczę kosz do śmieci, zawsze pełen zgniecionych, bez żadnej estetyki i ładu powrzuconych papierów. Przy jednej ze ścian znajdował się starożytny kominiek majolikowy, z drogocennym zegarem na konsoli, pod nim zaś, zamiast eleganckiego ekranu, stawał zazwyczaj wilgotny, rozpięty parasol, zaś pod śliczną etażerką, zdobną wykładaniem z perłowej masy — bywało usankcyonowane miejsce zabłoconych kaloszy. Z po za ram weneckiego zwierciadła wychylał się filuternie podręczny kalendarzyk pana sekretarza.

Zegar wskazuje dziewiątą rano; pan Szymon już siedzi przy biurku, z zamięłowaniem segregując sprawy swego urzędowania.

Co do wyglądu — byłby on może nawet i nie brzydkim człowiekiem, gdyby umiał, lub chciał odpowiednio dbać o swoją powierzchowność; gdyby gęste krucze włosy, kędzierzawe z natury, odrzucał ku górze głowy z czoła, a oliwkowo-śniadą twarz zdobił krętym, swobodnie puszczoneym wąsem. On jednakowoż, jak gdyby mu kto umyślnie kazał specieć się tem, co dla jego urody najmniej odpowiednie, zasłaniał czoło włosami aż po same oczy, zaś wąsy, wysztynnione jakąś pomadą, starannie łączył

z faworytami, które mu twarz najniepotrzebniej czyniły pękają.

Przed nim leży cały stos gęsto zapisanych aktów; z ołówkiem w ustach przebiega je pilnie oczyma, coraz znacząc na rogach arkuszków jakieś uwagi: „*ad referendum. Ad retardandum.—Ad acta ponendum.—Praeferentissime.—Notabene.*” Ho, ho! proszę! cóż to? Na tym niema *plane stempli?*—„*Befund!*” Dla pasjonowanych urzędników jest to taka przyjemność, taka niebotyczna rozkosz, jak dla napiętnowanego myśliwca polowanie na słomki. Durr!—spadła.

Naraz drzwi się otwierają i wchodzi hajduk Jan, ów znany nam już, stary, były huzar. I tego także pan baron zagarnął do swojego biura. Osiwiał chłop, jak gołąb, czupryna, wasy — białe niby mleko, lecz trzyma się dzielnie. Podchodzi do biurka, staje sztywno, po żołniersku i melduje:

— Jaśnie wielmożny panie baronie, upraszam pokornie...

— Cóż to znowu za śmiałość? — ofuknie zirytowany pan Szymon. — Kto waści upoważnia podlażyć mi pod sam nos? Nie wiem, kiedy się nauczysz przyzwoitości, odpowiedniej swojemu stanowisku! Proszę się wynieść za drzwi. Wpierw zapukać trzeba delikatnie kilka razy i dopiero, jak zawołam: *herein!* — wejść pocichu, stanąć opodal i cierpliwie poczekać z mową, aż ja się zapytam, z czem przychodzisz.

Hajduk, jak niepyszny, musiał wyjść za drzwi i stosując się do rozkazu, zapukać trzykrotnie.

— *Herein.*

Na to hajduk wszedł i powtórnie rzecz swoją zaczął:

— Jaśnie wielmożny panie baronie, upraszam pokornie...

Ale pan sekretarz przerywa i dalej mówić nie daje.

— Proszę mi się oduczyć od głupiego powtarzania słów: „upraszam pokornie...” Jeżeli waść chcesz o co upraszać, to powinienesz to podać piśmiennie, na stemplowym papierze. A teraz powiedz: *Zu Befehl!* Rozumiesz?

— Rozumiem, upraszam pok...

— Bałwan. Co masz do zameldowania?

— Przyszedł balwierz.

— Spóźnił się dziś o pięć minut. Sam się ogoliłem. Wytrączę mu to z miesięcznej pensyi. Ale zanim odejdzie, waści może ogolić.

— Proszę jaśnie wielmożnego pana barona, ja o to nie proszę. Sam się zawsze gołę.

— Nie znać tego wcale. Wąsy tak są, jak były.

— Jaśnie wielmożny panie baronie! Te wąsy razem ze mną wzrosły i posiwiały... Nigdy żelazo ich nie dotykało!

— No, to niech teraz dotknie i będziesz je mógł złożyć do archiwum pamiątek. Według wydanego *Vorschriftu*, o którym ci już mówiłem, personelowi, zostającemu na usługach rządowego sekretaryatu, nie wolno jest nosić wąsów, tylko faworyty. Jeżeli waszmości ten warunek nie do smaku, możesz zdjąć liberyę i nie pokazywać mi się tu więcej na oczy. Zrozumiałeś? No, któż tam jeszcze z interesantów czeka w przedpokoju?

— Wielmożny pan Balambér Kapotnyaki.

— Prosić.

Jan szeroko drzwi roztworzył przed gościem.

Pan Balambér Kapotnyaki stanowił, rzecz można, prawdziwy typ czystej krwi rdzennego szlachcica scytyjskiego. Okazały, w ramionach szeroki, wyglądał, jak wyciosany z jednej sztuki granitu,



Na wspaniałym torsie zielenił się, na gęste guziki spięty „Zrinyi”-dolman; z ramion zsuwała mu się niedbale, z fantazją na bakier zarzucona menta, zczepiona z przodu na piersiach łańcuchem srebrnym; srebrnymi też były ostrogi, za każdym krokiem brzęczące mu dźwięcznie u butów z wysokimi sztylpami — w muskularnej prawicy dzierżył kij z muszkatołowego drzewa, ciężką gałką mosiężną przypominający buzdycan, a służący godnemu osobnikowi za trzecią nogę. Twarz rumieniła mu się pełnią zdrowia, a nawet miejscami, jak np. zabarwieniem nosa—to cokolwiek zbyt żywo naśladowała jutrzeńkę. Na błyszczące czoło spływały mu gładkie, równe promienie czarnych włosów, które symetrią swoją—niestety—jawnie zdradzały, że nie są rodzonym wytworem pana Balambéra, ale że pochodzą z peruki. Ale zato broda nie podpadała już żadnym podejrzeniom, że jest jego rzeczywiście, przyrodzoną własnością.

Wszedłszy, zagaił rozmowę przyjacielskim śmiechem. Co prawda, z tego rodzaju twarzą, jaką on posiadał, trudno było jakąkolwiek inną manipulację przeprowadzać, jak śmiech, śmieszek, albo uśmiech. Nie czekając zaproszenia, jednym rzutem oka spenetrowawszy przezornie, które krzesło ma najmasywniejsze nogi, z zaufaniem umieścił na niem swoją bujną postać, wachlując się z wdziękiem karakułową czapką.

— *Pardon! Gracia!* kochany panie bracie, że cię nachodzę o tak wczesnej porze. Ale niechaj mnie tłómaczy, że wpadłem na trop takiej ważnej tajemnicy, że dosiedzieć nie mógłbym spokojnie na miejscu, dopóki bym jej nie podzielił z tobą. Słyszałem o tem w kasynie.

— Z którego mnie wykluczono.

— Oh, wszakże nic na tem nie tracisz, ko-

chany panie bracie, bo przecież każdą nowinę, czy plotkę masz natychmiast przez moje usta podaną sobie, jeszcze ciepłą, gorącą. Oto np. ostatek wiadomości, dotycząca twego starszego brata, Zoltana. Znów strzelił bąka. Żyć nie może ten człowiek bez wytrząsania pieprzu przed nosy wyższych sfer. *Nulla dies sine linea* — to jest jego hasło, a wykwitem tego — coraz nowy jakiś *subcus*.

— Tak. To już leży w jego temperamencie.

Pan Balambér przysunął się z krzesłem do Szymona, ażeby mógł ważną tajemnicę powierzyć jego uszom głosem ścisłym.

— Jak ci wiadomo, łaskawy panie bracie, jaśnie wielmożny pan hrabia posiada w górach wcale przyzwoity kawałek ziemi: dziesięć tysięcy mórg samego iście dziewiczego lasu. To nawet tam podobno raczyłeś się urodzić... Prawdziwa puszcza. Od piętnastu lat pan hrabia nie pozwalał w tej puszczy urządzać polowań z naganką. Można sobie wyobrazić, jak obficie rozrosnąć się tam musiała w liczbę i gatunki wszelka fauna, przez tak długą epokę absolutnej ciszy i spokoju. Tymczasem — jak wiadomo — *Durchlaucht*... Jego ekscelencya, nasz gubernator obecny, namiętnie uprawia myśliwstwo. Wystosował tedy uprzejmą prośbę do pana hrabiego, ażeby dla jego przyjemności odstąpił raz od swojej zasady i pozwolił w swojej kniei odbyć polowanie z naganką. A wszakże jest to rzeczą uznaną, kochany panie bracie, że uprzejma prośba pana gubernatora jest synonimem rozkazu. Gdyby się jego ekscelencyi śniło, że kichnął — jabym uważał za najświętszy mój obowiązek zawołać mu: na zdrowie! To też i pan hrabia z całą gotowością oddał swój zamek i knieję na jego usługi, a murgrabiemu wydał rozkaz podejmowania znakomitych gości wspianiami ucztami, dopóki tylko zechcą bawić pod je-

go dachem. Tych znakomitych gości zaś była ciżba tak wielka, że miejscowy kredens zamkowy nie mógł wystarczyć potrzebom i aż ztąd wyprawiać tam musiano srebra i serwisy. Ale sam jaśnie wielmożny pan hrabia wymówił się od przyjmowania udziału w polowaniu: zapewniał, że jest buddystą i wierzy w to, że w zwierzętach mieszkają dusze dawnych ludzi. Tak tedy — *denique* — krótko mówiąc, po lukullusowej biesiadzie wczesnym rankiem wyruszyło grono Nemrodów w knieję i rozpoczęły się łowy z naganką. Aliści, jak śpiewa poeta: „Daremnie królewicz łuk swój wypręża: nie widać w pobliżu orła, ni węża!...” Przez cały dzień uganiając się po lesie z hukiem, szumem, bronią, psami, ubili na koniec jedną dziką kotkę. To przyjemnie. Naza-jutrz powtórzyli próbę po drugiej stronie góry, no i zjednoczonymi siły zdołali zastrzelić — borsuka. Naturalnie, mieli tych łowów już po uszy i na trzeci dzień, nie szukając dłużej szczęścia, *re quasi bene* powrócili do miasta w niezbyt słodkich humorach. Zaraz następnego wieczora spotkał się *Durchlaucht* z panem hrabią, no, i rzecz prosta, nie mógł wytrzymać, żeby mu nie wyrazić swego najwyższego niezadowolenia z takiego całkiem nieprzyzwoitego wyniku łowów. I cóż powiesz, drogi panie bracie? Nigdybyś nie odgadł, co hrabia odrzekł na to. Z miną niewiniątka oznajmił jego ekscelencyi, że go to niepowodzenie mocno dziwi, tembardziej, że umyślnie już na tydzień przedtem, z wielkiej troskliwości, kazał swojemu nadleśnemu urządzać w kniei polowania z naganką na próbę, dla wprawy... Trzeba być beczelnym. Naturalnie, owe „próbne” polowania wszelką zwierzynę wygnały z lasów gdzieś na drugą hemisferę, a dla jego ekscelencyi okroiła się raptem dzika kotka i borsuk. *Durchlaucht* wścieka



się, jak asceta, i kipi przeciwko hrabiemu Zoltanowi niepowściągniętem pragnieniem zemsty.

— Mój panie bracie, cóż mnie to wszystko obchodzi? To są sprawy Zoltana, nie moje.

— Ba, tak... Ale to też teraz chciałbym pomówić o innej sprawie, która znowu mnie obchodzi zblizka... Mam prośbę do szanownego pana brata.

Głos pana Balambéra ścieniał jakoś przy tych słowach i zarywał tonami roztkliwionego fletu.

— Aha, domyślam się, o co chodzi! Wujcio Bala chciałby się zacząć o jaki urząd?

— I cóż ma począć nieszczęśliwy, „na pastwę losów wydany Węgier?” Człowiek ożenił się, ma dzieci... Pańszczyznę zniesiono... Ruina kompletna, a tu żyć trzeba. Zresztą — w tej kwestyi, ja tam jestem tego zdania, że przeciwnie, wszyscy cisnąć powinniśmy się do urzędów, nie dopuszczając, żeby obcy zarządzili nami, niby szare gęsi. Wszakże poeta woła: „Działaj, pracuj, trudów nie żałuj, a ojczyzna cię nazwie wdzięcznym synem swoim!”

— A cóż pan potrafisz, zacny panie bracie?

Pytanie to, w wysokim stopniu nie dyplomatyczne, do głębi obruszyło pana Balambéra, niby naj-sroższa impertynencya. Zerwał się z krzesła, bijąc w szeroką pierś karakułową czapkę.

— Ja potrafię wszystko!

— No i byłbyś gotów objąć wszelką, jakąbądź posadę?

— Naturalnie, rozumiem się, o ileby, kwadrując z moją rangą i zdolnościami, ani pierwszej, ani drugim nie przynosiła ujmy. Przecież wiesz zapewnia, że „człowiek sprawny i nie głupi, w każdym życia posterunku—cześć i sławę sobie kupi...”

— No, ale zawsze radbym wiedzieć chociaż w przybliżeniu, mniej więcej, w jakim kierunku zdol-

ności pana brata są bardziej rozwinięte? Inaczej mówiąc: do czego czujesz pociąg najsilniejszy?

— Do kadastru. Do oceniania nieruchomości, ziemi. Ach, ziemia! To mój ideał. Powtarzam za piewą: „Ta ziemia ukochana, krwią praojców zlaną, rozślawia światu naszych bohaterów miana...” Jaka szkoda, że te święte nazwiska nie zostały wciągnięte do kadastru! Ileżby to zyskała na cenie wszelka nieruchomość, gdyby można było stwierdzić autentyczność krwi, jaka w nią wsiąkła!

— No, dobrze, ale czyż pan brat znasz się na czynnościach, na jakich polega taksowanie gruntów?

Pan Balambér wzruszył ramionami na takie bezcelowe przelewanie słów próżnych.

— Ależ panie bracie! Ja aspiruję do posady prezesa.

— Ach, to co innego. Prawda, że prezes nie potrzebuje się znać na takich drobiazgach.

— Głównie też po to stawilem się tu, ażeby sobie zapewnić przychyłność szanownego pana brata... Mam nadzieję, że raczysz to ocenić, iż łączyło nas zawsze powinowactwo nie tylko krwi, ale i przekonań, zasad...

— Trudno mi jednakże i o tem zapomnieć, panie bracie, że w swoim czasie podejmowałeś się dogadzać zleceniom przeciwnego nam obozu.

— Alboż ja zaprzeczam? Tak jest, zaiste! Podejmowałem się „dogadzać” zleceniom tych szaleńców, ale czy im kiedykolwiek w rezultacie dogodziłem? Zdaje mi się — przeciwnie, że to powinno mi być porachowane za jedną z największych zasług!

— Mój kochany panie bracie, zwracasz się do mnie tak, jak gdybym ja mógł coś zrobić dla ciebie. Wierżaj mi, odemnie nic nie zależy. Najmniejszego wpływu nie mam na te sprawy.

— Nie mnie zaprószać oczy dowcipem, kochany panie bracie. Wiem, jaką każdy interes przechodzi kolejkę. *Durchlaucht* odsyła podanie do naczelnika komitatu, ten zaś, sam na niczem się nie znając, zwraca się po opinię do pana sekretarza. Słowem, wszystko tu skacze tak, jak pan brat zaśpiewać raczysz.

— O, jeżeli tylko o to chodzi, możesz pan brat być przekonany, że najprzychylniejszą zdam o tobie relację.

— Więc mogę rachować na drogocenne twoje poparcie?

Szymon skinął głową potwierdzająco, a pan Balambér, w uniesieniu wdzięczności, przycisnął zaciętą jego dłoń do swojego biustu.

— Na jedno tylko zwracam uwagę szanownego pana brata — podjął po chwili pan sekretarz. — Ta broda, tak wspaniale ozdabiająca twoją twarz, gotowa ci zatamować wstęp do urzędu w kadastrze...

— Oh, jeżeli tylko o brodę chodził! Jest to jedna z najmniejszych ofiar, jakie w każdej chwili złożyć jestem gotów na ołtarzu publicznego dobra. Poeta woła: „O brodo rozczochrana! Bywasz błogosławieństwem, lecz często i przekleństwem: wyrwę cię z korzeniem i na śmiecie rzucę, gdy uznam, że potrzeba!” Tak mówi Michał Vörösmarty przez usta Mikołaja Toldi’ego <sup>1)</sup>. No, polecam się pamięci ci pana brata i łaskawym jego względom.

---

<sup>1)</sup> O Toldim, jak wiadomo, napisał epopeję w trzech częściach nie Vörösmarty, lecz Jan Arany; pokazuje się przeto, że pan Balambér, ciągle cytując wieszczów swojego narodu, nie zbyt dokładne jednakowoż posiadał o nich wiadomości.



To rzekłszy i uściskawszy prawicę pana sekretarza, przy hucznym odgłosie brzęku srebrnych ostróg i stukania buzdyganem w posadzkę, opuścił wielki patriota biuro Bezirk's Sekretaryatu.

— Niech go kaczka zdziobie! — mruknął za nim, ziewając pan Szymon.

Był zły. Dla takiego głupstwa tyle czasu traćć i wysłuchać nudnej, długiej plotki o polowaniu!

Zegar antyk na kominku wydzwonił ślicznym głosem stłumionego dzwonu dwa kwadranse na dziesiątą.

Pan Szymon przestał się irytować; myśli jego skierowały się gdzieindziej.

— Wpół do dziesiątej! Czy też jeszcze jest w domu? Albo raczej może—czy już jest w domu?...

Wysunął z biurka jedną z najmniejszych szufladek i wyjął z niej arkusik różowego papieru i kopertę, poczem siadł do napisania listu. Oczywiście, powątpiewać można, aby ów list miał być treści urzędowej; zarówno format, jak kolor papieru, zbyt wyraźnie temu przeczyły.

Zajęcie to tak silnie go zaabsorbowało, że nie zauważył wcale, iż boczne drzwi odemknęły się zciha i że weszła przez nie poważna, niemłoda kobieta.

Była to jego matka. Przyszła tu ze swoich apartamentów.

Piękna ta matrona miała twarz okoloną pasmami gęstych, siwych włosów, na skroniach — według dawnej mody — skreconych w ślimak i kryjących się dalej pod spadającym na nie upięciem z czarnej koronki. Ubranie jej stanowiła najprostszym krojem uszyta suknia z ciemno-błękitnego perkaliku w nieco jaśniejsze prążki.

Kroki jej były takie ciche, lekkie, iż Szymon

zauważył jej obecność dopiero wtedy, gdy przemówiła do niego:

— Synu kochany!

Zerwał się od biurka zmieszany, blednąc, to czerwieniąc się z gniewu, wsuwając czempredziej różowy papier i kopertę między urzędowe akty.

— Ależ, hrabino! Bez zameldowania... — wybuchnął, przygryzając wargi.

— Ja? Miałabym się meldować—drogi synu?!

— Tu, w tym pokoju, nie jestem synem hrabiny, tylko sekretarzem naczelnika komitatu. Mam sobie powierzone rozmaite tajemnice stanu, których nawet matce mojej nie wolno podpatrywać. Oznajmiłem to już hrabinie z całą stanowczością, że zawsze o każdej porze miło mi będzie widywać ją u siebie—o ile innych interesantów nie będę przyjmował, ale za każdym razem żądam, żeby hrabina raczyła się meldować przez woźnego.

— Woźnego niema.

— A toż co się znaczy? Nie posyłałem go nigdzie.

— Poszedł w świat. Powiedział, że tyś go odprawił ze służby. Zdjął liberyę i zostawił ją w przedpokoju na gwoździu.

— Sprowadzę go napowrót w kajdanach! Jak śmiał opuszczać służbę bez świadectwa zwolnienia?

— Świadectwo zwolnienia miał; ja mu je wydałam.

— Mojemu woźnemu?!

— Zasługi ja mu płaciłam i u mnie służył od lat dwudziestu pięciu. Miał prawo do mnie się zwrócić o świadectwo zwolnienia.

Szymon pięścią uderzył w stolik.

— Teraz niema praw, tylko są rozporządzenia! Chłystek. Zrobił to tylko dlatego, aby mi

dokuczyć. No, ale naturalnie hrabinie nie mogę o to procesu wytaczać. Ciekawy tylko jestem, kto mi teraz będzie służył na każde zawołanie, dopóki innego woźnego nie przyjmę, a nadewszystko kto będzie meldował interesantów.

— Otóż tym razem właśnie ja tu przyszedłam, ażeby go zastąpić. W przedpokoju masz gości, którzy pragnęliby cię widzieć. Manga ma do ciebie prośbę.

— Ta stara cyganicha? Jeszcze jej nie upiekli na ogniu? I czegoż ona chce odemnie? Może urzędowego pozwolenia na wrózenie z kart i rzucanie uroków?

— Nie gniewaj się na tę pocziwą kobietę, kochany synu; bądź dla niej łaskawy. Ona cię wykarmiła przecież, a kochała cię i pieściła — może więcej nawet, niż rodzone dziecko.

— Bardzo niewłaściwie było przyjmować do mnie cygankę na mamkę.

— Wiesz o tem zapewne, że ja w tym wyborze nie zabierałam głosu. Byłam bardzo chora. Gdy powtórnie wyszłam zamąż za twojego ojca, barona jenerała Lenke...

— Co prawda, byłabyś była mogła zrobić lepszą jaką partyę.

— Lepszej zrobić nie mogłam. Nie znałam zaniejszego człowieka od twojego ojca.

— Ba! Cóż kiedy był goły, jak święty turecki.

— Kochał Węgrów.

— I ja ich kocham, ale podanych na zimno.

— Podczas rozruchów ludowych, gdy panowała cholera...

— Oh, wiem już, wiem. Znam tę historię na pamięć. Karmiono mnie tą legendą codziennie, przez całe dzieciństwo. Wzburzony motłoch na-



padł na zamek, matka uciekła do lasów i oto zesłany zostałem tej nocy na świat, niby anioł pocieszyciel, w lepiance przepłukiwacza złota. Romantyczna przygoda, niema co mówić, ale nie przynosząca mi osobliwszego zaszczytu.

— Ja życie zawdzięczam tej pocziwej, ubogiej cygance. A i ty masz dla niej niejeden dług wdzięczności. Byłeś bardzo złem dzieckiem, niegrzecznem...

— Wyrósłszy, nie wiele się zmieniłem.

— Z anielską cierpliwością znosiła twoje grymasy.

— Biedna męczennica! I czegoż się dziś domaga za te swoje usługi?

— Przyszła prosić nie za sobą, ale za swoim synem, twoim mlecznym bratem.

— Za moim „mlecznym bratem?” To znaczy się—cyganem. Jaka parantela! Czegoż mu potrzeba, temu włóczędze! Może go mam uwolnić od wojska?

— On do wojska niezdatny. Wiesz dobrze dlaczego! Jest kulawy na jedną nogę; tyś go takim uczynił. Bawiąc się z nim, gdy byliście dziećmi, rozniewałeś się o coś i ze schodów go zrzuciłeś, przez co złamał nogę.

— Powinien być dumny, że posiada doraźną pamiątkę po takim panu, jakim ja jestem względem niego. Ale w rezultacie—czegoż chce teraz?

— Nic wielkiego; prosi tylko, żebyś przyłożył pieczęć urzędową i podpis swój na paszporcie.

— I dla wyjednania tej łaski aż pod twoją protekcyę się ucieka? Jakież ceregiele!

— I do ciebie przyszedł; czeka w przedpoju.

— Zbyteczny mi jest jego widok. Znam jego rysopis na pamięć. Znak szczególny: ślad ukąsze-

nia na lewym policzku. To także moich zębów pamiętka. Nie zależy mi nic na nim. Może sobie wędrować gdzie mu się podoba; dostanie paszport.

(Ładne czasy panowały wtedy! Bez paszportu nie wolno było człowiekowi wychylić nosa do sąsiedniej wioski ).

— Ale i żona jego chce z nim razem jechać. Czeka tu także.

Na tę wiadomość wyraz twarzy pana Szymona uległ nagłej zmianie. Kąty jego ust wykrzywiły się satyrycznym uśmiechem ku górze, a zmarszczone dotychczas czoło wygładziło się pięknie. Wyglądał jak faun wcielony.

— Ah, ah!—proszę i Cytera przysła? Soczysta Cytrynka? Czemużeś, hrabino, odrazu od niej nie zaczęła wyliczać szeregu moich gości? Wpuśćże ich! Nie znam w świecie nic apetyczniejszego nad tę małą cyganeczkę! Istny cukierek pralinkowy!

Ostatnich słów nie miała już sposobności słyszeć baronowa <sup>1)</sup>, ponieważ wyszła, aby niezadługo powrócić w towarzystwie interesantów, za którymi się tak wstawiała.

<sup>1)</sup> Do dziś dnia przechowuję w moim zbiorze osobliwości paszport, wydany mi niegdyś przez pewnego urzędnika, który, gdym mu dyktował, czem jestem, nazwę mego zajęcia, widząc nie dosłyszawszy, napisał zamiast *Schriftsteller* — *Schäfsteller* (nadzorca owczarni). Pod opiekuńczą osłoną takiego gleitu dojechałem jakoś szczęśliwie do samego Komorna.

M. J.

<sup>2)</sup> Może kogo zastanowić, że panią Lenke nazywamy czasem hrabiną, a znów czasem baronową; istniał jednakże podówczas zwyczaj taki, że gdy dama przechodziła z rodu wyższego, niż jej mąż, wówczas mówiąc do niej, używano tytułu, do jakiego miała prawo z urodzenia, ale pisząc o niej, mianowano ją tytułem mężowskim. Zatem — kiedy kto mówił do pani Lenke—nazywał ją hrabiną; lecz my, pisząc o niej, używać musimy tytułu: baronowa.

M. J.

Troje ich było: Manga—stara matka, Paolo—młody cygan i Cytera—jego żona. W tym samym porządku, w jakim tu są wymienieni, przestąpili próg, wchodząc do biura pana sekretarza. Młodej kobietki miejsce zawsze bywa ostatnie—u cyganów.

Manga nie widziała Szymona już od lat dwunastu, odkąd go wywieziono do akademii w Wiener-Neustadt. Dowiadywała się tylko o niego dosyć często; z kąd też nie było dla niej nowością, że przed niedawnym czasem został urzędnikiem.

Trzeba zaś wiedzieć, że cyganom nikt nie imponuje; jeden tylko urzędnik, t. j. każda, chociażby najniższa, aby tylko urzędowa figura, wzbudza w nim uszanowanie. Wszelki hrabia, baron, dziedzic, choćby najrozleglejszych włości, jest dla niego niczem; dopiero pan sędzia—to jest już w ich wyobrażeniu potentat, z którym rachować się godzi, zaś wice-żupan—prawie to samo, co król w koronie. A cóż dopiero pan „sekrementarz!” Czy istnieje na świecie pompatyczniejszy tytuł, pełen notabene jakiegoś tajemniczego uroku?...

Dwadzieścia dwa lat życia, spędzonego nie zawsze na różach, zaznaczyło się wyraźnie na obliczu Mangi. Wyglądała niby staruszka zgrzybiała, pomimo, że wiekiem najmniej o sześć lat młodszą była od baronowej. A jednak baronowa, chociaż siwa, ale postawę jednak miała jeszcze zręczną, prostą, wysmukłą, jak amazonka, cerę białą i rumianą, czoło gładkie, bez zmarszczek, a oczy pełne blasku; cyganki zaś twarz i czoło posiatkowane były głębokimi bruzdami, które wyraźniej jeszcze występowały, gdy się uśmiechała.

Baczny obserwator między temi zmarszczkami mógłby być może rozróżnić, co każda z nich znaaczyła: inna była od śmiechu, inna od płaczu,



inna od gniewu, a inna od pochlebstwa. Teraz, gdy ujrzała Szymona, nad wszystkimi zapanały rzadko w grę wchodzące zmarszczki szczerej, wielkiej radości. Po długich dwunastu latach niewidzenia znów danem jej było zobaczyć Szymona! I to jakim go zobaczyć! Panem wielkim i wielmożnym, utytułowanym i tak ważne stanowisko zajmującym w świecie! A jaki ma piękny szlafrok aksamitny na sobie, przewiązany w pasie czysto jedwabnym sznurem! Manga, zgarbiwszy się w czworo, podchodzi ku niemu, całuje go w rękę pokornie i głaszcząc pieszczotliwie po pluszowym rękawie, starając się głos swój uczynić możliwie najśłodszym, najprzypochlebniejszym.

— Całuję twoje złociste rączki, mój najlaskawszy, najdostojniejszy panie sekrementaryuszu! Oby w niebie mieszkający Bóg Zebaóth uczynił twoje świetlane lica okrągłemi, jak jabłko Parysa!

Ale Szymon, nieprzejednany miódopłynną wymową, wcale nie uprzejmie odpycha staruszkę, a ślady jej pocałunków starannie ściera z rąk chustką od nosa.

— Precz! Co za śmiałość. Nie trzeba mnie lizać. Nie jestem rycerzem z piernika.

Z bratem mlecznym jeszcze dawniej nie widział się pan baron. Małego cyganiaka, gdy liczył zaledwie sześć wiosen, zabrał do siebie sławny Bärkö Pista, *primás* (pierwszy skrzypek) ulubionej i wysoko cenionej w stolicy bandy koncertujących cyganów. Paolo od wczesnego dzieciństwa zdradzał szalony talent do muzyki; później, dzięki hojności baronowej Anny, pod kierunkiem jednego z najlepszych profesorów w Budapeszcie, oddał się poważnym studjom nad muzyką i już w czternastym roku życia występował samodzielnie na publicznych koncertach, zbie-

rając bajeczne oklaski, laury i owacye. Kto go słyszał wtenczas, przepowiadał mu świetną przyszłość, europejską sławę.

Trzeba mu było tylko jeszcze wyjechać za granicę, do słynnych na świat cały konserwatoryów, wydoskonalic się jeszcze i uzyskać dyplomy.

Cóż, kiedy utknął w pół drogi, ożeniwszy się w bardzo młodym wieku z Cyterą, córką swojego ojca przybranego.

Twarz Paola Barkó byłaby mogła stanowić prawdziwie zajmującą zagadkę dla fizyonomisty: z rysów i wyrazu była to niby na ciemno opalona twarz Chrystusa. Biła z niej taka pogoda, taki spokój, pomieszany z niezgłęzionym jakimś smutkiem i powagą, iż każdemu, gdy patrzył na niego, musiało przyjść na myśl, że on chyba na to jest stworzony, ażeby cierpieć. Ślicznie zarysowane usta jego okolone były lekko kręcącym się zarostem, wąsami i brodą rozdzieloną na dwoje. Nos miał klasyczny, jak wyrzeźbiony, ogromne, czarne oczy, pełne iskier i ognia, ocienione frendzlą długich, czarnych rzęs i gęstemi, prostemi brwiami. Z obydwóch stron twarzy spływały mu obfite pukle kędziorów tak ciemnych, że aż w błękit wpadały; postawę miał wysmukłą, ale muskularną; gibki, zręczny, tylko chodząc utykał cokolwiek na jedną nogę, ale to go nie szpeciło wcale, przeciwnie, dodawało mu jakiegoś szczególnego wdzięku, i to — notabene — bez żadnej afektacji.

Żona jego zato stanowiła niby popisowy egzemplarzyk czysto cygańskiego typu. Nie zbyt wysoka, ale kształtna — niczem indyjska bajadera, rączki i nóżki miała maleńkie, rasowo cienkie w kostkach, twarzyczkę drobną o klasycznym owalu, niby odlaną z bronzu, o żywych rumieńcach, okalających wdzięczne dołeczki w jagodach, zaś włosy jej, wijące się

w fantastyczne loki były koloru rudawo - płowego, jak rozwichrzona grzywa lwa azyatyckiego. Włosów tych jednakże nie całe bogactwo było widać, gdyż przysłaniała je w większej części kraśna chustka jedwabna, efektownie odbijająca przy ciemnej płci młodej cyganczki, tudzież przy jej oczach ciemno-lazurowych, lub raczej granatowych, powleczonech tylko lekkim pyłkiem błękitu, jak świeża lubaszka na drzewie. Filuternie przysłaniając źrenice wygiętemi i jak sadze, czarnemi rzęsami, każdym ruchem, każdym drgnieniem zdradzała niepohamowany, pełen zawadyackiej brawury temperament cygański.

Pan sekretarz przedewszystkiem dbał o to, aby powagą swego postępowania wzbudzać cześć i poszanowanie w pospolitym plebsie, o ile z nim do czynienia miewał. Niech ludzie nie zapominają różnicy, jaka ich dzieli od jego majestatu. Tembardziej zaś cyganie!

Więc nie zaszczyciwszy swoich interesantów ani jednym spojrzeniem, napełnił cybuch tytoniem, zapalił fajkę u kominka i dopiero wygodnie rozparłszy się w fotelu, paszczając z ust misterne kółka z dymu, raczył protekcyjonalnie zapytać:

— Cóż cię tu sprowadza, Pawle Barkó?

— Przychodzę z prośbą do jaśnie wielmożnego pana sekretarza. Ponieważ wybieram się w podróż za granicę...

— Za granicę?... Ho, ho! To coś podejrzanego. Wcale nie ręczyłbym za twoją lojalność.

— Jadę tylko, żeby dawać koncerty.

— Aha, rozumiem. Tu nie wolno rzempolić marsza Rakóczy'ego, więc waści wyrywa się duszyczka w inne atmosfery, tam, gdzie będziesz mógł rznąć od ucha, co ci się podoba.

— Nie wiem. Mam jechać do Rosyi, do Petersburga. Wielki książę Konstanty raczył mnie



najmiłościwiej zawezwać do siebie, przypomniawszy sobie o tem, że gdy przejeżdżając tędy kilka dni tu bawił, nieraz miałem zaszczyt grać na jego dworze.

— Ho, ho! *frater!* Tak grubo łąć nawet cyganowi nie wypada!

Paolo Barkó na tę wątpliwą wytworność apostrofę z zimną krwią wy dobył z kieszeni swoje świadectwa.

— O prawdzie słów moich może się jaśnie wielmożny pan sekretarz łatwo przekonać. Z Wiednia przysłano mi ten oto dyplom, wydany przez ministerium spraw zagranicznych, a poświadczony przez wielkiego ambasadora rosyjskiego. A to jest przez tegoż ambasadora zatwierdzona kopia najłaskawszego wezwania Wielkiego Księcia. Tu zaś oto mam kontrakt, zawarty z rosyjskim impresaryem na trzy lata.

Baron Szymon przeglądał dokumenty, niechętnie pokręcając głową.

— No proszę, proszę! Czyżby ta bajka miała być prawdą? Gdzie się to cygan nie wkręci smykem po baranich kischkach! No, więc czegoż, do starego licha, mnie zawracasz głowę, kiedy masz wszystko, co ci potrzeba, prosto z Wiednia?

— Bo i moja żona chce mi towarzyszyć, więc trzeba tu, w miejscu jej urodzenia, wpisać jej imię, tudzież rysopis.

— Co słyszę? I mała Cytrynka zamierza opuścić kraj rodzinny wraz ze swoim mężem? To do niczego niepodobne, mój Pawle. Kobietę wlec za sobą w tak długą drogę! Zostaw ją w domu. Już my się nią tu zaopiekujemy.

Na takie *dictum acerbum* jednakże pokazało się, że i młodej kobiecie nie brak własnego języka...

— Najpiękniej dziękuję jaśnie wielmożnemu panu za jego dobre chęci. Ale to już trudno; pojadę z moim mężem. Przystoi, ażebym mu wszędzie towarzyszyła, gdzie go los zapędzi. Wiadomo, że jak się małżeństwo rozłącza, zawsze jedno z nich dyabłu na żer się dostaje.

— Nie słyszałem o tem. Przynajmniej do mnie jeszcze nikt nie wnosił skargi na dyabła.

— Nic dziwnego. Każdy aż nadto jest pewny, że kruk krukowi oka nie wykole.

— Hm... Cytrynka ma w buzi nie język, ale szpikulec.

— Umie tylko płacić pięknem za nadobne, jaśnie wielmożny panie.

— No, więc chodź tu bliżej, muszę cię opisać na paszporcie twojego męża, ażeby cię przypadkiem gdzie nie zamieniono. Zdejmij chustkę z głowy: trzeba zobaczyć jakie masz włosy, tak nic nie widzę.

Cytera musiała zdjąć kraśną chusteczkę jedwabną.

Szymon nie mógł wytrzymać, aby nie pogłodzić ręką jej bujnych loków.

— Oj, tylko proszę mnie nie potargać!

Szymon zapisał w paszporcie:

„Włosy ciemno-blond, rudawe, gęste, kędzierzawe, nad czołem wijące się w drobne loczki.”

— Teraz otwórz oczy szeroko i popatrz prosto na mnie.

„Oczy ciemno-szafirowe, duże, ogniste, brwi wąskie, wygięte w regularne łuki, naksztalt półksiężyców. Twarz owalna, cera brązowo-złocista, na policzkach czerwono-emaliowana.”

Tu dostał klapsa w rękę.

— Policzki mam takie, jakie mi dał Pan Bóg; nie potrzeba ich za to szczypać.

Szymon pisał dalej:

„Usta ponsowe, jak korał, zęby białe, zdrowe.”

— Pokaż ręce!

„Ręce kształtne i maleńkie.”

— Ale ścisnąć ich niema powodu!

Szymon ciągle jeszcze pisał:

„W pasie taka cienka, że możnaby ją objąć rękami.”

— Nie, nie! Cóż znowu!... Tego niech wielmożny pan nie pisze!

— Dlaczego?

— Bo dlatego, że... no —

„Nogi.”

Cytera, rozgniewana, przykucnęła tak, że spodnica zakryła jej drobne stopy.

— Co komu do tego, jakie mam nogi

Pan sekretarz zanosił się od śmiechu. Wobec ładnych kobietek uważał, iż można urzędową powagę cokolwiek na bok usunąć.

— Cóż to za dobry, z serca pocziwy człowiek! Jaki przystępny jest dla nas, jak łaskawie się z nami obchodzi!—na stronie z zachwytem szeptała Manga do baronowej.

— No, oto masz, czegoś chciała, filutko mała—rzekł Szymon do Cytery.—Ale mi za to zapłacić trzeba.

— A ile?

— Choćby jednego, ale porządnego całusa.

— Taki piękny paszport wart i dwóch całusów!—odparła wesoło cyganka.

Szymon wyciągnął ręce, żeby ją w pół schwytać, ale zwinna „pralinka” wysliznęła mu się zręcznie, stawiając przed sobą, niby tarczę — swoją świekrę.

— Matula ma u siebie moją kasę. Matulku, jaśnie wielmożnemu panu należy się dwa całusy za paszport. Niech matuś wypłaci!



Oblicze starej cyganki zajaśniało wyrazem uszczęśliwienia i radości wielkiej: myślała, że naprawdę dozwolonem jej będzie uściskać jaśnie wielmożnego pana.

— Idź do stu par dyabłów, sparciała czarownico! — huknął Szymon, zrozumiawszy, że go na dudka wystrychnięto. — Zaczekaj, mała jędzo! Będę miał dług u ciebie. Poczekam z wycofaniem, aż procenty podrosną!

Paolo uznał, że się nie obejdzie bez jego interwencji.

— Czekajta baby, ja zapłacę, wiem ile stoi taksa!

To rzekłszy, wyliczył na biurku jaśnie wielmożnemu panu trzy dwudziestki srebrne. Istotnie, według przepisów, tyle należało się urzędnikowi za wydanie paszportu. Znalazł się cygan po pańsku...

Ale Szymon lubił sam prym trzymać, żeby jego słowo było na wierzchu.

— No, oto jest paszport, Pawle Barko, możesz z nim jechać do Rosyi. Radzę ci tylko zachowywać się tam przyzwoicie i legalnie, bo inaczej mógłbyś poznać okolice, których wątpię, żebyś był ciekawy. Nie pij, nie dokazuj, nie wdawaj się w złe towarzystwa, bo nic łatwiejszego, jak takie fanaberye zdrowiem przyplącić.

— Będę się miał na ostrożności, jaśnie wielmożny panie.

— Bacz, ażebyś tutaj nie powrócił w kajdanach.

— Dziękuję za łaskawe przestrogi.

— Zaczekajcie jeszcze — a to im pilno! Nie można tak zaraz uciekać. Trzeba jeszcze rzecz wciągnąć do protokołu.

To rzekłszy, przybliżył się do umieszczonego

na boku stolika z drzewa sosnowego, który, nie pomalowany, bielił się brudnawo wśród zalegających go rupieci. Pod nim, na półkach, stały rzędem grube księgi, a jedna z nich, najgrubsza, leżała roztwarta na pulpicie.

Paolo myślał, że trzeba iść za jaśnie wielmożnym panem.

Szymon go ofuknął.

— Czego mi przydeptujesz pięty? Możesz zostać na miejscu. Tu nie jest młyn, ani deptak!

Cygan cofnął się, a pan sekretarz udawał, że pisze.

Naraz zciszonym nieco głosem, korzystając z tego, że inni zaczęli między sobą rozmowę, zawołał:

— Manga!

Cyganka ucieszona pośpieszyła do niego.

— Rozkazuj, panie kochany, mój ty królewicu.

Szymon wydobyl z pomiędzy papierów liścik różowy i wsunął go zręcznie do rąk cyganki.

— Schowaj ten list pod chustkę, ażeby go nikt nie widział, idź z nim do teatru i oddaj go do własnych rąk według adresu. Pani baronowej ani słowa o tem!

Cyganka wzięła list i schowała go w zanadrze.

— Już gotowe, zapisane; możecie już iść — rzekł Szymon, wręczając paszport muzykowi.

Paolo zbliżył się do baronowej.

— Dziękuję za łaskawe wstawienie się za nami, jaśnie pani hrabino. Niech panią Bóg za to błogosławi!

I z głębokiem uszanowaniem ucałował jej rękę...

Anna zaś pieszczotliwie położyła mu dłoń na głowie.

Wszak był jej wychowawcą.

— Niech cię Bóg prowadzi, mój pocciwy Paolo!

Mandze, gdy patrzyła na tę scenę, ledwie oczy nie wyskoczyły z orbit.

Zmieszała się i osłupiała, niby na widok czegoś nadprzyrodzonego. Zupełnie, jak gdyby jej danem było widzieć coś, czego nikt inny z obecnych nie dostrzegał. Zapytywała się w duchu: „A temu chłopakowi jaki bies—czy anioł—podszeptał, żeby tę kobietę pocałował w rękę?... Tę kobietę zaś co skłoniło do tego, ażeby położyła dłoń na jego głowie?... Czyżby—Boże uchowaj—dojrzały co *wówczas* czy „Devli” z nieba?

— Komu w drogę, temu czas; chodźmy już, kochana matko!...—zabrzmiały miękkim, melancholijnym głosem wyrzeczone słowa Paola.

Manga drgnęła, jak gdyby ją z głębokiego snu zbudzono. Odwróciła się, a tuż za sobą ujrzawszy stojącego barona Szymona, nawpół nieprzytomna, szepnęła półgłosem:

— Synu mój jedyny!

— Upiłeś się, czy co? stara małpo? Nie dotykaj mnie! — krzyknął z gniewem jaśnie wielmożny pan sekretarz.

— Upadam do nóżek jaśnie pana... Czasem mi się w oczach mroczy...

Po odejściu cygańskiej rodziny twarz barona Szymona powróciła do poprzedniego, apatyczno-martwego wyrazu.

Gdy chciał, łatwo umiał dać do poznania, że ma prawo być nieprzyjemnym dla każdego, kogo w danej chwili niema ochoty oglądać: osobliwie zaś, jeżeli tym kimś była jego matka.



— I cóż, jakże: czy dosyć po „mleczno-bratersku” obszedłem się z twoim protegowanym, hrabino?—zapytał.—Protegowany! ulubieniec! I jaki. Gdy byliśmy malecami, nieraz dawałaś mu pierwszeństwo przedemną.

— Owszem, dziękuję ci, że nie robiłeś tym dobrym ludziom trudności.

— Więc łaskawą audyencyę można uważać za skończoną?

— Nie jeszcze, mój synu. Wszedłszy do ciebie, zauważyłam, że pieczętowałeś list jakiś. Różowy kolor papieru pozwala mi domyślać się jego treści.

— No, no! można ci powinszować wzroku, hrabino. Istotnie, odgadłaś.

— Z tego zaś, że moje niespodziewane przybycie wywołało twoje dosyć żywe niezadowolenie, równie łatwo odgadnąć mogę, do kogo ów list napisałeś...

— I temu nie mam zamiaru przeczyć. Jest mi to zbyt obojętnem, czy się hrabina tego domyślasz, czy nie. Ukrywać mojego postępowania nie mam najmniejszej potrzeby. Napisałem list do Aranki.

— Czy ty ją kochasz?

— Doprawdy—nad tem nie zastanawiałem się nigdy. Wiem tylko, że się z nią ożenię.

— Jakto? Bez mojego zezwolenia?

Baron Szymon rozsiadł się z cyniczną flegmą w fotelu przed matką, której nie podał krzesła, i z całem skupieniem ducha zaczął czyścić paznokcie. Dopiero po dłuższej chwili milczenia, ukrywając ręce w kieszeniach, a twarz wsunawszy jeszcze głębiej w swoje sztywne „Vatermörder’y”, zaczął gardłowym głosem:

— *Chère maman!* Gdybyś do dziś dnia była

hrabiną Bárdy, a ja, twój syn—hrabią Bárdy, wówczas twoje błogosławieństwo, albo przekleństwo mogłoby tu coś zaważyć na szali. Ale pamiętać o tem nie zawadzi, że jesteś sobie dzisiaj tylko wdową po baronie von Lenke, a dla syna twojego, Szymona von Lenke, matczyne twoje przyzwolenie, albo niepozwolenie — jest prostą grą wyrazów, akademicką dyskusją, która, chociażby głosiła teoryje najwznioślejsze, niemniej praktycznego zastosowania żadnego nie posiada.

Znać było po obliczu baronowej, że ją te słowa syna głęboko zabolaly.

— Przyznać musisz, Szymonie, że nigdy ci się nie naprzykrzałam wymówkami. Odkąd na świat przyszedłeś, ciągle cierpiałam z twojego powodu w milczeniu, bez słowa wyrzutu. Ani przed tobą samym, ani przed nikim innym nie rozwodziłam skarg na ciebie, chociaż obfitych ku temu dostarczałeś powodów. I więcej nawet powiem: pomimo wszystkie twoje winy, matczyne moje uczucie dla ciebie nie tylko nie wygasło, ale nigdy, ani na chwilę nie słabło! Synu mój! Drogie, kochane dziecko! Dlaczego masz mi za złe, że widząc, iż pochylasz się niebacznie nad przepaścią, chociaż się wzbranasz, chwytam cię za ręce, i odciągnąć pragnę? — Wiesz ty, kim jest ta kobieta?...

Baron Szymon na równe nogi zerwał się z fotelu, jak obrażony tygrys.

— Hrabino! Zabraniam komukolwiek na świecie, a zatem i tobie także, oszczerstwa rzucać na kobietę, którą postanowiłem poślubić!

Baronowa pochyliła głowę z cichą rezygnacją.

— Dobrze, zatem nie powiem o niej ani słowa. Wiedz tylko, mój synu, o tem, że godzina, w której tę kobietę, jako swoją żonę, do tego domu

wprowadzisz, będzie ostatnią godziną mojego pobytu pod tym dachem. Opuścę miasto i usunę się w wiejskie zacisze.

— Ot — to byłoby rzeczywiście bardzo taktywnym postępkim z twojej strony, hrabino. Na wsi miałabyś, równie jak w mieście, wszelkie wygody. Tutaj zaś — nie mogę ukryć, że obecność twoja napędza mi niemal codziennie kłopotów i trudności — po uszy. Czemu mężczyźni nie mogli dać rady, to teraz wy, kobiety, podejmujecie. Oni dali spokój, a wy doboszujecie.

— Jakto?

— Tak, że gdzie sposobów użyć nie można, tam macie na pogotowiu tysiące sposobików wykrotnych, któremi myśl waszą staracie się przeprowadzić. Naprzykład te suknie, które nosisz, z krajowego perkalu: — czy to jest właściwe? To perkal stał się dziś mundurem węgierskich magnatek?

— A cóż w tem jest złego? Chyba niema grzechu, jeżeli kto pragnie popierać przemysł miejscowy.

— Zawracanie głowy z przemysłem! Niema głupich! Znamy się na farbowanych lisach. Gdybym chciał wykazać wszystkie komedye, jakie wyprawiacie na temat waszej narodowości, raz pod pozorem miłosierdzia, to znów oszczędności, nie skończyłbym i do północy.

Baronowa Anna miała łzy w oczach.

— Widzę, drogi synu, że drogi nasze rozdzielają się i że nigdy ich już nic nie połączy. Czyń, co chcesz. Masz wszelkie prawo po temu. Przekleństwo moje nigdy cię nie dotknie. Strzeż się tylko, aby to błogosławieństwo, które otrzymasz, kłęcząc przed ołtarzem ręka w rękę z tą kobietą, nie stało się kiedyś przekleństwem dla ciebie, ścigają-



cem cię mściwie przez całe, długie życie! Niech się Bóg nad tobą zlituje.

Odwróciła się i zwolna, cichymi krokami skierowała się ku drzwiom. Tam—raz jeszcze przystała, i z wybuchem silnego uczucia wyciągnęła złożone ręce do Szymona.

— Synu! drogi mój synu! Błagam cię!...—zawołała z rozpaczą.

— Daremnie, hrabino. Nie jestem chorągiewką, ażeby zmieniać raz powzięte i głęboko rozważone postanowienie—odparł twardo i bezlitośnie baron Szymon, stojąc przed swoim biurkiem z rękami bohatersko splecionymi na piersiach, mimowoli przybrawszy stereotypową pozę „księcia niezłomnego” z żywych obrazów. I stał tak, dopóki matka nie zniknęła za drzwiami.

— Nieugięty jestem! Jak z granitu!

---

## ROZDZIAŁ IV.

### Naczelnik komitatu.

Aliści naraz — zapomniał o tem, że jest nieugiętym. Dla wywołania tej zmiany nie stało się nawet nic zbyt szczególnego: otworzono tylko z zewnątrz drzwi główne, środkowe, i wszedł przez nie do pokoju niewielki, może pięć stóp wysokości mający, osobnik.

Był to sam naczelnik komitatu.

Pan Ottokar Lebegut już od trzech lat przebywał tutaj, jako przełożony tego sławetnego *Bezirku*. Tem się różnił od wielu innych, że usiłował szczerze zastosowywać się do miejscowej ludności i jej zwyczajów. Wyuczył się nawet języka węgierskiego, i ilekroć miał ku temu sposobność, lubił go używać. Akcent miał zły wprawdzie, ale składnię poprawną.

Pocziwy to był, wesoły człowieczek. Twarz miał okrągłą, pyzată, rumianą, jasne jak len włosy wichrzyły mu się na głowie w nigdy przyglądzić się nie dające snopki, wąsiki miał takie maleńkie, że kątów ust nie sięgały: tem większą też niespodziankę sprawiała dosyć długa, równa broda, zwieszająca

mu się od środka twarzy, jak przypięty kufel. Miał na sobie poważny, długi surdut koloru tabaczkowego, a przy dziurkach od guzików czerwone kokardki orderowe.

— Dzień dobry! dzień dobry! — rzekł, wchodząc.

Te proste słowa podziałały niby głos czarodzieja na niezłomego męża z granitu. W niskim ukłonie złamał się naraz we dwoje.

— Ach! Jaśnie wielmożny pan naczelnik komitatu! Jakie szczęście! jaki zaszczyt! Przepraszam stokrotnie, że mnie pan zastaje w takim negliżu! W tej chwili—natychmiast się przebiorę!

Poskoczywszy w najdalszy kąt pokoju, zrzucił szybko szlafrok aksamitny, a naciągnął czarny, salonowy tużurek, bezustannie szastając się, kłaniając i głęboko schylając przed panem naczelnikiem głowę.

Ale pan naczelnik nie zwracał na to uwagi, gdyż zajęty był pilnie pociąganiem cygara, które nie chciało się palić.

— Wygasło. Wygasło! Ciągnę, ciągnę. Nie daje dymu, nie daje dymu.

Pan naczelnik komitatu miał zwyczaj często dublować wyrazy, co zresztą nie sprawiało zbyt przykrego wrażenia. Ież to razy w operze umyślnie dopominamy się o *bis*! On sam ma się rozumieć, nie spostrzegał tego.

Baron Szymon z gotowością istnego kelnera z restauracyi rzucił się po zapalki do biurka, i sam podał ognia swemu naczelnikowi.

Ale cygaro było jakoś dziwnie uparte: wcale nie chciało się zająć.

— Też dyabli z takim cygarem. A jednak jest to przedni gatunek: nazywa się dragederos. Poprzednio myślałem że jest to wyraz hiszpański, ale



teraz, kiedy umiem po węgiersku, dopiero naprawdę zrozumiałem znaczenie tej nazwy. Prawdziwe *drága*, *de roszt! drága de roszt!*<sup>1)</sup>

— Wolno służyć panu dobrodziejowi? Może te będą lepsze?

Szymon otworzył w biurku małą szufladkę, i wydobył z niej jasne pręgowate cygaro: podał je panu naczelnikowi odrazu z zapaloną zapalką.

Pan Ottokar Lebegut z uprzejmym ukłonem przyjął wonną hawanę, tamto zaś, nieposłuszne cygaro zagasił starannie i schował do kieszeni. Spojrzawszy jednak uważniej na to, które dostał, wytrzeszczył oczy w okrągłe kółka, a pociągnawszy, z lubością delektował się dymem, poczem jeszcze raz uważnie przyjrzał się cygaru, i ściągawszy usta jak do gwizdania, z pod oka figlarnie spoglądał na Szymona, pokręcając głową.

— Ej, ej, ej, ej, ej, ej, ej! Przemycane cygaro? Przemycane cygarko?

— Skonfiskowane cygara — sprostował poważnie baron Szymon błędne mniemanie pana naczelnika.

— A, to dobrze, a to dobrze. Kiedy tak, to co rano będę tu przychodził popieścić się takim cygarkiem, takim cygarkiem.

— Zaszczyt dla mnie, zaszczyt dla mnie.

I baron Szymon zaczął dwa razy powtarzać swoje wyrazy. Być może, iż machinalnie uległ tej dziwacznej manierze; mamy jednakowoż niektóre powody przypuszczać, iż postanowił to czynić umyślnie, miarkując sobie, że się tem lepiej przypodoba swemu zwierzchnikowi.

Naczelnik był dziś w szczególnie dobrem uspo-

---

<sup>1)</sup> „Drogie, ale złe.“

sóbienu: przypiekała mu język anegdota, której jeszcze nie miał z kim podzielić. Nakoniec parsknął śmiechem.

— Ach jacy śmieszni są, jacy śmieszni są ci *cudzoziemcy*, *cudzoziemcy*, którzy jeszcze nie znają miejscowego języka, miejscowego języka. Ten Czech, Mikulaj, sędzia cyrkulowy <sup>1)</sup>, inkwirował wczoraj, inkwirował wczoraj kryminalną jakąś sprawę. Pyta delikwenta, pyta delikwenta, kto był jeszcze oprócz niego obecnym przy zbrodni. Delikwent odpowiada, że nikogo nie było, tylko komondor, tylko komondor. Więc Mikulaj woła, Mikulaj woła: „Komondor niech wejdzie! Komondor niech wejdzie!” Hahaha! Nieborak przekonany był widocznie, że *komondor* jest co najmniej jakimś komandorem! <sup>2)</sup>

Baron Szymon udawał, że pęka ze śmiechu. Z natury swojej nie był on skłonny do wesołości; anegdota pana naczelnika nie zabawiła go ani trochę; ale skoro zwierzchnik opowiada co dowcipnego, obowiązkiem podwładnego jest śmiać się i śmiać bez końca.

— Prawda, że piramidalne! że piramidalne!

Pan naczelnik spojrzał na niego naiwnie, i naraż spoważniał. Zastanowiło go, jaki dziwny zwyczaj ma ten sekretarz: każde słowo dwa razy powtarza, dwa razy powtarza!

Wrócił do porządku dziennego.

— Muszę zaznaczyć, że tym razem przysłany zostałem przez moją żonę, przez moją żonę, do pana barona. Pan baron nigdy jeszcze z nią nie roz-

<sup>1)</sup> Pan Lebegut siebie nie uważał za cudzoziemca: natomiast wszelki Czech, Morawianin był według niego obcym.

<sup>2)</sup> *Komondor*—po węgiersku pies owczarski.

mawiałeś. Bo też, co prawda, rozmawiać z nią niepodobna, niepodobna. Pocziwe stworzenie. Jest głuchoniema. Jest głuchoniema. Ale pomimo to znakomicie przyrządza *Nudlpflanzl*, *Nudlpflanzl*! A trzeba wiedzieć, że jest to moja *Liebspeise*, moja *Liebspeise*.

— I ja także za nią przepadam!

— Otóż właśnie dziś będziemy ją mieli na obiad. A po obiedzie—partyjka *Langepuff*"u, z moją żoneczką.

— Namiętnie tę grę uprawiam.

— Prawdziwie, do rany przyłożyć tego baronka!

— Czy wolno mi jaśnie wielmożnemu panu naczelnikowi złożyć referaty?

— Przyjdzie czas i na to!—odparł zwierzchnik.— Nie trzeba się śpieszyć, to moja reguła. Co nagle, to po dyable. Zato ja mam tutaj coś do wręczenia szanownemu mojemu przyjacielowi: coś, co go z pewnością ucieszy.

„Szanownemu przyjacielowi”...—powtórzył sobie w duchu Szymon.— Kiedy tak, to widocznie ma awans dla mnie w kieszeni.

— Och, panie naczelniku! Od pierwszej chwili wiedziałem, jak wysoko mam cenić pańską życzliwą, niemal ojcowską opiekę, którą otaczać raczysz swoich podwładnych!

Naczelnik komitatu rozpiął surdut i wy dostał z kieszeni dosyć grubą paksamętę.

— Niemila historia. Bardzo niemila historia. Starszy brat pana barona, hrabia Zoltan Bårdy, chciał wysłać jakiś mocno kompromitujący list. Człowiek, któremu w zaufaniu ów list powierzył, nam go doręczył, nam go doręczył. Na tej zasadzie powinienbym hrabiego Zoltana Bårdy natychmiast aresztować, natychmiast aresztować i stawić



przed sąd wojenny. Dziesięć lat więzienia w fortecy i konfiskata dóbr, konfiskata dóbr groziłaby mu za to!... Więc naturalnie, zważywszy na pokrewieństwo... przecież to brat pana barona, brat! — powiedziałem nędznikowi, że nie wolno dzwonić tem na alarm! nie wolno! Aż przykro pomyśleć, ilu dziś jest na świecie delatorów. Ilu delatorów. Wstrętne plemię. Weź, szanowny przyjacielu, te papiery do siebie. Pomów z bratem na cztery oczy i nakiwaj mu porządnie. Pocziwy chłop, ale zapalona głowa, może się tem zgubić. A potem spal te papiery. Takie rzeczy kwalifikują się do zacierania, nie do rozmazywania. Do protokołu wciągać tego nie trzeba. Ja tam lubię spokój święty i zgodę. Bezwzględna sprawiedliwość nie tyle dobrego robi, jak łaskawość, dobroć, zmiłowanie. To mój żywioł, to mój żywioł.

Baron Szymon słuchał mowy zwierzchnika z dziwnie cierpką miną. Zamiast zwrotu tego głupiego *corpus delicti*, byłby tysiąc razy wolął dostać od pana naczelnika dekret swojego awansu... Udaając, że z uwagą przegląda otrzymane papiery, roztargniony był i zły na rozczarowanie, jakiego doznał. Umiał się jednak hamować.

— Jaśnie wielmożny pan naczelnik niewymownie mnie zobowiązał tym dowodem swojej łaskawości. Hrabia Bårdy byłby się istotnie wpłatał przez ten list w wielkie nieprzyjemności. Jest w nich mowa o amerykańskich biletach dolarowych. *Flagrans perduellio!* Ośmielę się tylko napomknąć, że ja, jako — ot, taki sobie, podrzędny *subalternus*, nie mogę papierów o tak doniosłym znaczeniu, poprostu przez wzgląd na prywatne uczucie miłości ku bratu mojemu, cofać z urzędowej drogi, na jaką je pchnięto. Chyba, gdybyś ty, jaśnie wielmożny panie, raczył własną ręką, niebieskim ołówkiem, tu, na rogu

tych aktów zaznaczyć, że zniszczyć je można, *supprimatur*. Oprócz urzędowego znaczenia tego wyrazu, mam nadzieję, iż odniesie on jeszcze inny skutek, mianowicie, może pan hrabia, ujrzawszy go, raz na koniec przestanie ostrzyć swój dowcip na nowym składzie personelu urzędowego w tym kraju.

— Co tam! Głupstwo! Dowcip i pustota trzymają się zazwyczaj ludzi uczciwych, ludzi uczciwych. Nie od wczoraj żyjąc na świecie, bywał człowiek między różnymi ludźmi i trafiało się najczęściej, że ci, którzy w oczy pochlebiali, za oczami z błotem mieszały, z błotem mieszały!

To mówiąc, z całą dobrą wiarą skreślił poczwieć na rogu podanego aktu, swoim oryginalnem, na lewo pochylonem piśmem, urzędowe *supprimatur* (do zniszczenia).

Następnie, z głębi serca ucieszony wypełnionym przez siebie dobrym uczynkiem i w przeświadczeniu, że wielką tem oddał usługę hrabiowskiej linii rodziny barona, uczuł się w prawie wypalić jeszcze jedno z tych wybornych cygar pana sekretarza.

Stare przysłowie głosi: „drobne podarunki wzmacniają przyjaźń”.

---

## ROZDZIAŁ V.

---

### Zoltan Bårdy.

Znów otworzyły się główne drzwi środkowe i wszedł ktoś bez zaanonsowania.

(Tak to bywa, gdy woźny *ex abrupto* służbę opuści).

Nowy gość atoli, ujrzawszy w pokoju naczelnika komitatu, cofnął się szybko i chciał odejść.

— Stokrotnie przepraszam! Nic nie wiedziałem o tem, że pan tu jesteś, panie naczelniku. Nikogo niema w przedpokoju...

— A tak: stoją tylko moje kalosze... Ale prosimy, prosimy, wejdź pan!—wołał zwierzchnik.—Nie obrabiamy żadnych tajemnic stanu, tajemnic stanu! *Lupus in fabula, lupus in fabula*. Rozmawialiśmy właśnie o panu hrabi Bårdy.

Hrabia Zoltan Bårdy był przyrodnim bratem barona Szymona Lenke.

Trudno sobie wyobrazić dwa sprzeczniejsze kontrasty.

Zoltan był chłopem sążnistym, o kształtach atlety, a twarz jego wyrażała rozum, energię i do-



broć. Głębokie, spokojne wejrzenie świadczyło, że miał w charakterze stanowczość i dużo sprężystości; bujną czuprynę ciemno-blond włosów odrzucał z pogodnego czoła, a kręty, sumiasty wąs dodawał mu niewypowiedzianego wdzięku. Wogóle z twarzy był niesłychanie podobny do matki. Ubrany był po europejsku: nie miał na sobie nic trącącego węgierszczyzną. Pomimo, że chodziła o nim fama, iż jest zapalonym *kuruczem*, nie nosił ani krawatu czerwonego, ani spinek, rzeźbionych w kształt trupiej główki.

— Panowie rozmawialiście o mnie? — zapytał zdziwiony. — I czemuż zawdzięczam to szczęście?

Pan Ottokar Lebegut podał hrabiemu cygarnicę.

— Pozwoli pan hrabia służyć sobie cygar-kiem, służyć sobie cygarkiem?

— Dziękuję panu uprzejmie, nie palę.

— Aha, otóż to o tem właśnie, o tem właśnie rozmawialiśmy przed chwilą. Że pan hrabia, odkąd do nas wprowadzono trafikę, wprowadzono trafikę — zupełnie zaprzestał palić. Od lat najmłodszych podziwiałem Mucyusza Scevolę, Mucyusza Scevolę; przyznać atoli muszę, iż zakasował go w mojem mniemaniu Węgier, który na złość tyranizmowi, wyrzekł się tytoniu, wyrzekł się tytoniu.

— Ha, cóż robić. Już pochodzę z takiego rodu upartego.

— Ale zagadałem się, a czas już na mnie, obowiązki wzywają, więc pozwólcie się panowie pożegnać.

Naczelnik komitatu wziął kapelusz, parasol i gotował się do odejścia. Znać było jednak na jego pocziwej twarzy, iż ma ochotę uścisnąć rękę pana hrabiego, ale że nie śmie, że się go boi. To hardy zawadyaka, jakich mało! Wiadomy był powsze-

chnie sposób, w jaki powitał wszechmocnego dzisiaj ministra, spotkawszy się z nim na jakiejś uroczystości w Wiedniu (a trzeba dodać, iż minister ów przed niedawnymi jeszcze czasy był adwokatem i plenipotentem hrabiego): *nun lieber Doctor (!), was haben Sie neues vor?*

Ale hrabia Zoltan zauważył wahanie się pana Lebeguta i z otwartą, szczerą uprzejmością wyciągnął do niego prawicę.

Pan Lebegut, oczarowany tym szlachetnym postępkiem, w obiedwie ręce ujął jego dłoń i potrząsnął nią aż trzykrotnie w serdecznym uścisku.

— Panie hrabio, panie hrabio, doprawdy!... Tyle tylko powiem, tyle tylko powiem...

Ale pocziwiec nie zdążył nic powiedzieć, bo przez ten czas już wyszedł. Natomiast w przedpokoju zaczął wołać:

— Janie, *Johann!* moje kalosze!

Ale rzecz prosta, nie pokazał mu się ani Jan, ani *Johann*, bo go nie było; sam musiał sobie włożyć i zasnurować swoje ogromne „błotochrony”.

— Dzień dobry, mój bracie — rzekł Zoltan, siadając w fotelu.

Szymon nie mógł przenieść na sobie, aby nie wytknąć Zoltanowi: „ale też wyściskaliście się za ręce z panem naczelnikiem komitatu!”

— A czemużby nie? Cóż mogę mieć przeciwko niemu? Uczciwy człowiek, *cudzoziemiec*, sumienie wypełniający obowiązki swojej służby.

— Podkreśleniem wyrazu „*cudzoziemiec*” czynisz zapewne apostrofę do mnie?

— Do nikogo nie miałem zamiaru czynić apostrofy. Zresztą przyszedłem tu nie w celu polemizowania z tobą, ale dlatego, aby jak brat z bratem porozmawiać w pewnej bardzo delikatnej i drażliwej materii...

Szymon z pod oka zezem popatrzył na Zoltana.

— Z góry ci tylko zapowiadam, hrabio, że jeżeli masz zamiar mówić o Arance, biorę za kapełusz i zostawię cię samego w pokoju.

— Bądź spokojny. Upewniam cię, że o *twojej* Arance nie napomknę ani słowa. Mam tylko zamiar opowiedzieć ci z mojego własnego życia pewien epizod, tragi-komedię, w której nikt inny nie został okryty śmieszością, oprócz mnie samego. Prostu, chciałbym wiedzieć twoje zdanie o tem. Nie weźmiesz mi za złe tej spowiedzi? Chociaż młody wiekiem, ale jesteś tak poważnym, tak trzeźwo na życie patrzącym człowiekiem, że zaciekawia mnie mocno, jaki też sąd wydasz o moich szaleństwach.

— Słucham.

— Będąc w twoim wieku i ja się także zakochałem na śmierć. Widocznie obadwaj pochodzimy *aus dem Geschlechte Azra*: choćby nam umrzeć kazało, przestać kochać nie umiemy (patrz Heine). Wybranka mego serca była idealną pięknością, klasyczniejszych rysów nie widziałem nigdy nawet w marmurze wykutych.

— Więc i ty porównywałeś swoją z marmurowymi bóstwami?

— A jakże, była ona dla mnie ożywionem bóstwem z marmuru. Nadto, oprócz zewnętrznej piękności, zdobyły ją rzadkie przymioty umysłu, wdzięk, żywość, dowcip; gdy się rozfiglowała, wesołością przechodziła menady, czasami zaś dziwna melancholia przysłańiała jej czoło, a wówczas, na skrzydłach poezji i smutku porywała oddaną jej duszę w nadziemskie zaświaty. Byłem w jej ręku manekinem, pionkiem, gliną; ze mnie i ze mną czynić mogła wszystko, co chciała. Na jej skinienie byłbym chętnie poszedł boso, jako pokutnik do Ziemi Świętej, albo schwyił sztylet Fra-Diawola. Miałem zaś



wszelkie powody być przeświadczonym, że i ona nawzajem kocha mnie namiętnie.

— Nie żądałeś dowodów? Nie brałeś jej na próby?

— Jeszczeby też! O dowody nie było trudno, z wszelkich zaś prób wyszła zwycięzko. Stosunek nasz trwał dwa lata. Szczerze mogę powiedzieć, iż życie w tej epoce było dla mnie rajem. To też używałem jego słodczy tak obficie i z takim pośpiechem, że przez te krótkie chwile wyczerpałem widocznie cały zasób rozkoszy, jaki mi był przeznaczony w życiu, i przez to na później już mi nic nie zostało. Ty byłeś podówczas za granicą na uniwersytecie, więc o niczem nie wiesz. Rzecz prosta, zaprzysięgliśmy sobie wierność na wieki wieków i przyrzekłem mojej ubóstwianej, że skoro tylko osiągnę pełnoletności, natychmiast ją poślubię. Ale już i tymczasem, nie czekając tak odległego terminu, otaczałem ją wszelkimi wygodami, a nawet przepychem, co tyle pieniędzy pochłaniało, że pozaciągałem ogromne długi, aż mama zwróciła na to uwagę i publiczne ostrzeżenie ogłosiła, że nie będzie ich spłacać, bo niepełnoletniemu, bez pozwolenia opieki, nikt nie ma prawa pożyczać.

— Więc matka była przeciwną temu związkowi?

— I jak! Zagroziła, że dom opuści, jeżeli ją tę kobietę wbrew jej woli, jako żonę, pod nasz dach wprowadzę. Chciała mnie nawet przekląć, jeżeli się nie mylę.

— Co?! Więc i tobie robiła takie awantury?

— No, widzisz. Tylko, że prawdą a Bogiem, ja zasługiwałem na nie: byłem hultaj, impertynent, rozrzutnik, wcale nie taki spokojny, rozważny i pracowity chłopak, jakim ty jesteś. Ale to już trudno. Pokazuje się, że te mamy już z zasady rade były-

by, ażeby się człowiek żenił koniecznie z jakąś wychudłą, bezkrwistą, w klasztorze wychowaną gęsią, umiejącą się tylko modlić, wzdychać i pokornie znosić wszelkie kaprysy i tyranizm suzerenki—świekry. Haha!

Szymon, słysząc to, wpadł w werwę. Ten Zoltan zupełnie tak, jak gdyby czytał w jego własnych myślach. Zaczął mu przytwierdzać, śmiejąc się z ironią.

— Tak, a przytem, żeby ta gęś miała co najmniej trzy tysiące morgów posiadłości, tudzież siedmiu antenatów po mieczu i kądzieli, haha!

— Ale, rzecz prosta, daremne były perwazy, nie dałem sobie wybić z głowy raz powziętego postanowienia. Krótko i węzłowato powiedziałem hrabinie, że jeżeli jej się nie podoba kobieta, którą mieć będzie za synową, to nic nie będę miał przeciwko temu, ażeby sobie wyjechała z miasta i osiadła na wsi, gdzie nikt jej nie będzie przeszkadzał rozpościerać władzy nad wszelkiem żyjącem, czy martwem stworzeniem.

— Stanowczo, najlepiejby zrobiła!

— Ostatnie moje słowo było: „jestem niezłomny i nieugięty!”

Szymonowi z wielkiego zadowolenia aż pierś się poszerzyła. Tak, to już widać rodzinnem jest u nich obydwóch: „energia w postępowaniu z mamą!”

— Tymczasem, zanim doszedłem do pełnoletności, wybuchnęła w naszym kraju ta nieszczęśliwa zawierucha, która później tylu smutnych następstw stała się powodem. Niepodobna mi było oprzeć się ogólnemu prądowi; sam wmieszałem się także do powszechnego ruchu.

— Nie mogłeś wyjechać za granicę?

— Byłbym mógł, ale nie chciałem. Opętany

byłem narówni z całą niemal młodzieżą naszą świętym jakimś zapalem, czy wściekłością, grasującą wśród nas zaraźliwie, jak epidemia. Wstąpiłem do pułku huzarów. Zawrócił mi głowę ten śliczny mundur malowniczy, podobało mi się życie obozowe, wrażenia pełne przygód i niebezpieczeństw, awanturnicze utarczki, słowem, całe to rozkołysane, śpiewem i muzyką przepojone *dinom - dānom* wojenne. Brałem nawet udział w kilku ważniejszych potyczkach. Wierzej mi, że nie ma rozkoszniejszego sportu! Przypomina to potrochu polowanie na niedźwiedzia, to znów wyścigi z przeszkodami, z których w rezultacie wynika pojedynek *en masse*.

— Dziękuję. Żadna z tych rozrywek nie posiada mojej sympatii.

— Kiedy nareszcie nastąpił koniec tarmoszeniu się za czuby, niedobitki naszego pułku włączono do szeregów cesarskich i wysłano bić się do Lombardyi. Zadowolony byłem z tego, gdyż miałem sposobność poznać zadarmo, na koszt rządu, piękne niebo włoskie.

— No, a cóż twoja narzeczona?

— Właśnie do niej wracam. Przez cały czas mojej nieobecności bezustannie korespondowaliśmy z sobą. Listy nasze iskrzyły się miłością i tonęły w łzach tęsknoty. Otrzymaawszy nakoniec *Abschied*, popędziłem na ognistych skrzydłach uczucia prosto do naszego miasta. Tu dopiero, ku nieopisanemu osłupieniu mojemu, dowiedziałem się odrazu na wstępie, że mój ubóstwiany ideał, już od dawien dawna, zaraz po ukończeniu wojny i po wprowadzeniu do nas nowego porządku rzeczy, zawiązał najściślejszy związek przyjacielski z człowiekiem, którym najgorzej pogardzam i którego najsilniej nienawidzę ze wszystkich pogardy i nienawiści godnych ludzi na świecie, a który potęgą i znaczeniem swoim tak da-



lece mnie przerasta, że nie mogło być mowy o tem, abym zażądał od niego porachunku z zadanej mi obelgi. A ta syrena bez czci i bez czoła, nie dosyć, że mi złamała wiarę, bo to jeszcze łącniej można-  
by jej było darować, gdyby o mnie zapomniawszy, naprawdę szczerze się w tamtym zakochała; ale romansując już z nim bezwstydnie, jeszcze mnie zwo-  
dziła, jeszcze listy do mnie pisywała, nabrzmiałe  
czułością, łzami, przysięgami, całem najniższem, naj-  
brudniejszym komedyanctwem, na jakie zdobyć się  
może tylko taka nawskroś zepsuta, przewrotna du-  
sza, jaką ona posiada! Przysłała mi nawet swoją  
miniaturę w najsubtelniejszym, - jaki wymarzyć mo-  
żna kostyumie... Oto tu, w tym pugilaresie są  
wszystkie listy tej damy, ułożone według dat, za-  
raz zaś z brzegu, w osobnej pochewce — miniatura,  
o której wspomniałem. A teraz powiedz mi, mój  
bracie, co ta kobieta jest warta?

To mówiąc, podał Zoltan Szymonowi przed  
chwilą z kieszeni wyjęty pugilares.

Tylko ukąszenie żmii mogłoby wywołać wra-  
żenie podobne temu, jakiego doznał Szymon na wi-  
dok miniatury, zawartej w pugilaresie.

— Aranka?!..

— Ja nie mówiłem tego imienia — z zimną  
krwią odparł hrabia.

— Dlaczego dałeś mi ten pugilares?...

— Paczka z listami jest zapieczętowana; od  
ciebie samego będzie zależało, albo ją otworzyć,  
lub też zostawić zamkniętą. Jeżeli przyjdzie ci  
ochota poznać treść tych słodkich epistoł, będziesz  
mógł tę chęć zadowolić; jeżeli nie, wrzucisz je ra-  
zem z pugilaresem i miniaturą do ognia.

— Ładna zasadzka z twojej strony!

— Wszakże zapowiedziałem ci szczerze i otwar-  
cie, że będę mówił o tragi-komedyi własnego moje-

go życia. Zgodziłeś się ją wysłuchać od początku do końca, a teraz pozostawiam tobie samemu wolność czynienia na jej temat uwag filozoficznych, albo też obojętnego pominięcia jej i przejścia nad nią do porządku dziennego.

Szymon, rozdrażniony do najwyższego stopnia, głośno sapiąc z gniewu, tam i napowrót chodził po pokoju. Naraz, splótłszy ręce na piersiach, stanął przed starszym bratem.

— Powiedz mi, co wam na tem zależy, tobie i hrabinie, ażeby wszelkiemi sposobami, uciekając się do najoryginalniejszych podstępów, kłaść tamy i zapory mojemu postanowieniu pojęcia Aranki za towarzyszkę życia?

— Owszem, mój bracie, wyłożę ci to jaśniej, jeżeli tego jeszcze sam nie pojmujesz. Widzisz, ani powołania, ani zamiaru nie mam wyklądać niby z katedry rzecz o moralności. Tam, gdzie serce w grę wchodzi, nie umiem odróżniać cnoty od występku. My, mężczyźni, tak często i tak wielkich dopuszczamy się wykroczeń na tem polu, że nie mamy prawa rzucać kamieniem potępienia na żadną z kobiet, która *sercem* zgrzeszyła. Według mnie, słusność i prawda jest zawsze po stronie miłości.

— No, a zatem, dlaczegoż się do moich uczuć wtrącasz?

— Ależ dlatego, że ta kobieta wcale nie ma serca. Ona ma tylko zimny rozum i wyrachowanie. Jej namiętne wybuchy i uniesienia nie z temperamentu pochodzą, ale z konsekwentnie kombinowanych planów i dążeń czysto egoistycznych. Wierzaj mi, że ona nie dlatego chce tobie oddać rękę, że cię pokochała, nie, tylko dlatego udaje, iż jest tobą zajęta, aby przez związek z tobą stanowisko w świecie uzyskać. To stanowisko następnie, nie przebiedzając w środkach, za pomocą coraz nowych sto-

sunków pchać będzie coraz wyżej i wyżej. I ciebie zapewne pociągać będzie ze stopnia na stopień, ale jakim kosztem i dla jakich celów!...

Baron Szymon odzyskał naraz równowagę moralną.

— Mój kochany — a jeżeli to wszystko jest także moim własnym programem? Chciałeś stawić mi przed oczy jakieś grozą budzące straszidła, czarny horoskop nieszczęść i niedoli, a tymczasem trafiłeś w sam rdzeń moich własnych zamiarów. Bo zastanów się tylko trzeźwo nad mojem położeniem. Z ojca jestem zupełnie ubogi: utrzymuje mnie matka dożywociem na dobrach po pierwszym swoim mężu, a twoim ojcu. Dla mnie jest to skąpo i lichy, i zresztą trwać będzie tylko, dopóki matka żyje. Muszę własnym przemysłem sam przyszłość sobie stworzyć. Żołnierzem być nie mogę. Absolutnie mi brak w charakterze osobistej odwagi. No, cóż ja na to poradzę... Jestem nerwowy, czy... lichy wie, co mi jest; dosyć, że nie znoszę pukaniny bronią palną, ani szczerku i błysku szabel. Wstąpiłem zatem do rządowej służby cywilnej. Nie potrzebuję ci chyba przypominać, jak dalece nienawidzeni, wprost pogardzani jesteśmy przez ogół. Według zdania opinii publicznej, żaden Węgier, szanujący swoją godność narodową, nie powinien podejmować się obowiązków urzędnika. To też niewielu ich rzuca się na tę drogę, i wskutek tego—karyerę mamy przed sobą otwartą, i tem powabniejszą, iż łatwą do osiągnięcia, wskutek braku rywali. Tak jest: lecz dla mnie i tego jeszcze za mało. Ja chcę prędko się wybić, i wspiąć się wysoko! Wszystko mi jedno—nie pytam, czyja dłoń ma mi dopomódz do wywyższenia się mojego. Jeżeli to będzie dłoń kobiety—tem lepiej! Gdzie spojrzę, w którąkolwiek stronę oczy obrócę, wszędzie jedno i to samo zjawisko widzę, że ludzie, rodziny całe,



najzamożniejsze, magnackie, idąc za prądem przeciwnym temu, któremu ja ulegam, tracą majątki, znaczenie, i wpadają w nędzę. Byłbym idyotą, gdybym naśladował ich przykład, zamiast wejść na drogę przeciwną. Matka jest przeciwną mojemu małżeństwu z Aranką dlatego, że jest to dziewczyna uboga:—otóż zarzut ten upada obecnie, skoro poinformować mnie raczyłeś łaskawie, iż przeciwnie—Aranka ma *posag*, i to znaczny, którym taki *pauvre diable*, jak ja, gardzić nie powinien.

Zoltan wstał z miejsca i ujął Szymona za rękę...

— Pozwól, bracie, tylko jedno słowo jeszcze. Ostatnie. Nie będę z tobą już mówił o żadnej kobiecie. Jesteśmy przyrodnimi braćmi. Tylko matkę mamy jedną. Twój ojciec był dzielnym generałem, ale ubogim. Mój—pozostawił mi piękny majątek rodzinny po dawnych pradziadach. W górach posiadamy piękny zamek, urządzony wspaniale, otoczony knieją, oraz gruntami żyznemi. Dochód z tych ostatnich jest tak obfity, że wystarczyłby znakomicie dla nas obydwóch na pańskie utrzymanie. Pozwól mi cię tam zabrać. Rzuć miasto: będziemy razem gospodarowali. Do równej połowy będę z tobą dzielił moje dochody. A ponieważ nigdy się nie ożenię—dosyć już mam studyów nad kobietami — więc gdy umrę, cały majątek w twoje ręce przejdzie. Powiedziałeś, że prędko chcesz się wybić: otóż ja ci od razu daję stanowisko świetne. Twierdzisz, że ci wszystko jedno, czyja dłoń ci dopomoże do wywyższenia się szybkiego:—przyjmij dłoń moją, braterską. Cóż, Szymonie?

Ale Szymon wyszarpnął gwałtownie swoją rękę z uścisku Zoltana, i odparł, przeplatając mowę homerycznym śmiechem:

— Czyli innemi słowy, chcesz, ażeby tu zo-

stawił moją rangę, owoce mojej dotychczasowej pracy, wszystko, czego się nauczyłem i co umiem, a zakopał się wraz z tobą w dzikiej pustce, której nie lubię, która mi nic nie da, i której nawzajem nic ze mnie nie przyjdzie? Cóż jabym tam robił? Gonił zające, czy kozy? Układał wyżły i ogary? Ujeżdżał żrebce? Mam się wyprzeć, że czytać i pisać potrafię, na wszystko mam odpowiadać: *niks tajecz?*<sup>1)</sup> Mam grywać partyjki z nawpół zdziczałymi sąsiadami i akompaniować im w wymysłach na Niemców, kiedy ci nie słyszą? Dla ich przyjemności mam się zapijać na śmierć, a po trzeźwemu budować wraz z nimi zamki na lodzie, z utęsknieniem wyglądając jakiegoś zapowiedzianego Mesyasza z za granicy, któryby nam na srebrnym półmisku podał wolność, nakształt gotowego upieczonego gołąbka? A tymczasem mam czas spędzać na błogiem słuchaniu, albo wygłaszaniu piorunujących toastów, połowie świata wypowiadających wojnę?... Ależ jabym zważyował!...

Zoltan pochylił głowę, ale broni złożyć jeszcze nie chciał.

— W tem, co mówisz, bracie, jest dużo prawdy — z twojego punktu widzenia. Nie jesteś temu winien, że o wielu, nas zbliżka obchodzących pojęciach, nie masz wyobrażenia. Od dzieciństwa za granicą wzrosłeś... Nie cierpiałeś wraz z nami — nie dziwota, że cierpienie tych nie odczuwasz. Ja nie mam widać dostatecznego daru słowa, abym cię mógł przekonać. Masz wysokie ambicje — miejże je sobie, i kieruj niemi według własnej woli. Chcesz samodzielny byt sobie wywalczyć własną głową, własną pracą — muszę ci nawet przyznać, że masz słu-

---

<sup>1)</sup> *Nichts deutsch*

szność zupełną. Ale w takim razie—wykwalifikujże się gruntownie w którejkolwiek gałęzi wiedzy. Nie skończyłeś uniwersytetu, nie posiadasz dyplomu. Jesteś jeszcze tak młody, że śmiało powtórnie wstąpić możesz—np. na wydział prawny; doktoryzuj się, pośladaj egzamina. Tytuł „doktora” przynosi chlubę. Nie sympatyzujesz z nami, czujesz się tu obcym — opuść nasz mały, ciasny kraik, zamieszkaj w Wiedniu. Ręczę, że ze swoją pracowitością, ze swojemi zdolnościami, prędko zdobylbys stanowisko, dochody, nawet sławę. Moja kasa stałaby otworem na twoje usługi, dopóki byś tylko chciał z niej korzystać. Jeżeli nie masz ochoty być prawnikiem, obierz sobie jakikolwiek inny zawód, odpowiedni swoim upodobaniom, bądź lekarzem, geometrą, budowniczym... A wreszcie bądź sobie lichwiarzem, jeżeli do tego masz skłonność, ale przestań być naszym prześladowcą!

Zoltanowi zdawało się, że wzruszenie, jakiemu on sam ulegał, byłoby zdolnem rozgrzać i kamienie: ale to już tak jest sądzonem w naturze, iż stworzenia z gatunku amfibiów — czy się łaszą, czy się złoszczą — zawsze jednakowo zimną mają krew. (Może jest to także właściwością *czarnej krwi*?)

Szymon stał przed lustrem, troskliwie gładząc faworyty.

Potem przypomniał sobie nagle, że zegarka jeszcze nie nakręcił. Dopiero tę czynność załatwiwszy, uznał, że pora odpowiedzieć bratu.

— Doprawdy, kochany Zoltanie, sam nie wiem, co mam więcej podziwiać: twoją wspaniałomyślność, czy też lekkomyślność? Bo zaprawdę, znając cię, gotów nawet jestem wierzyć, że gdybym cię tylko chciał wziąć za słowo, dotrzymałbys rzeczywiście wszystkiego, o czem tak swobodnie, bez żadnego zasta-



nowienia i rozwagi prawileś. Ale na szczęście ja jestem ostrożniejszy z natury: umysł mam krytyczny i nie zwykłem na wiatr puszczać słów swoich. Prawda, że do chwili obecnej jesteś dziedzicem jednego z największych majątków w koronie, ale byle krok nieostrożny, byle czyn zbyt żywy — odrazu pozbawić cię może całego mienia, uczynić więźniem, albo wygnańcem, a mnie, gdybym popełnił głupstwo zawierzenia tobie — na całe życie nędzarzem bez jutra.

Zoltan popatrzył na Szymona głęboko zdziwiony

— Jakto? Nie rozumiem cię, mój bracie.

Więc Szymon przystąpił do Zoltana i stanowczym ruchem położył mu rękę na ramieniu.

— Krok podobny już uczynileś. Ja o nim wiem.

— Jakież głupstwo! Nie możesz wiedzieć o czemś, czego nie było.

— Zaprzeczenie w tych razach nic nie znaczy. Jesteśmy dobrze poinformowani. Knuje się tutaj coś, co słusznie unikać potrzebuje światła dziennego.

— W takim razie jest to coś tak tajemnego, że ja o tem nic nie wiem.

— Czy nie wysyłałeś listów za granicę?

— Ani słowa, ani litery.

— *Mnie* śmiesz w oczy to mówić?

— Słowo honoru ci daję.

Szymon zwrócił się do biurka, ażeby wydobyć papiery, otrzymane od pana Lebeguta i ich pokazaniem odpowiedzieć na „słowo honoru” Zoltana. Ale zatrzymał się w pół drogi.

Przyszła mu na myśl pewna kombinacya i nagle zmienił zamiar: drogocennego dokumentu bratu nie pokazał.

Natomiast spojrzał na zegarek, i uczyniwszy

nawpół zdziwione, nawpół przestraszone spojrzenie, wyraźnie mówiące: „to już tak późno?” rzekł z etykietałym urzędowym chłodem:

— Panie hrabio! Zdaje się, że nie mamy sobie już nic więcej do powiedzenia... Wzywają mnie obowiązki. Przyjemnie mi było widzieć cię u siebie!

Sklonił się sztywno i usiadł przy biurku, plecami do Zoltana.

Zoltan Bárdy, hamując żal i oburzenie na takie zakończenie rozmowy, chwycił za kapelusz i skierował się ku drzwiom,

— Żegnam pana barona!

To rzekłszy, nakrył głowę kapeluszem jeszcze w pokoju.

Na progu jednakże o mało nie wpadł z całym impetem na spiesźnie do pokoju wchodzącą jakąś damę.

Ujrawszy ją, czemp prędzej napowrót zerwał z głowy kapelusz.

Była to Aranka.

---

## ROZDZIAŁ VI.

---

### Aranka.

Zoltan skłonił się aż trzy razy, mijając piękną damę, na co ona raczyła mu odpowiedzieć dumnym, ledwie dostrzegalnem skinieniem głowy.

Nie zamienili ani jednego słowa powitania, albo pożegnania.

Kobieta stała wyzywająco, nieruchoma jak posąg, dopóki Zoltan nie wyszedł i drzwi za sobą nie zamknął. Wówczas gwałtownie podbiegła ku Szymonowi, który ledwie zdążył, przez czas, gdy Aranka hardo mierzyła się oczami z Zoltanem, ukryć między papierami ów pugilares z miniaturą i z listami.

— Ten człowiek o mnie tu mówił!—krzyknęła stłumionym głosem.

Sama już powierzchowność tej kobiety zdradzała, że jest niepowszednią istotą.

Cały ówczesny świat niewieści stroił się w krynoliny: w salonach, na ulicach—wszędzie oko spotykało różnobarwne balony, kręcące się, jak mrówki i ledwie, ledwie, że nie wzlatujące do góry. Jedna tylko Aranka nie kładła na siebie tych żelaznych



obrócić: miała cywilną odwagę stawić czoło brzydkiej modzie. Przeciwnie, nosiła suknie dosyć obcisłe, uwydatniające jej posągowe kształty, i w domu, czy na ulicy—zawsze białe. Nawet kapelusz miała biały, z długim welonem białym, nakształt węża obwiniętym dokoła szyi. Od tej bieli ubrania żywym kontrastem odbijała jej twarz o rysach klasycznych, a cerze tak ciemnej, prawie oliwkowej, że możnaby ją wziąć za Beduinę. Oczy miała duże, czarne, ponure, z brwiami prostemi, jak dwa sztylety, wargi wąskie. Odwinąwszy z szyi welon i odrzuciwszy go na tył kapelusza, gdy czarne, jak heban włosy, obcięte do ramion, rozrzuciły jej się dokoła twarzy, wyglądała jak anioł pędzla Rafaela.

Jej twarz blada, ciemna, bezkrwista, miała tyle wyrazu, że kto ją raz widział—już nigdy jej nie mógł zapomnieć. Nawet wtedy, gdy oczy miała spuszczone — a często oczy spuszczała. Na tortury brać potrafiła przysyłaniem źrenic rżesami, czarnemi, jak smoła, tudzież wąskich warg zaciśnięciem.

Słowa jej i samo zresztą ukazanie się w tej chwili zmieszały Szymona.

— Aranko—szepnął tylko, nie wiedząc, co ma powiedzieć.

— O, nie przecz! Z twarzy mu wyczytałam, że o mnie mówił, a z twojej teraz czytam, że ty — słuchałeś!

— Wzbraniałem się...

— Mówił, że byłem niegdyś jego kochanką, a teraz — że jestem kochanką człowieka, którego on najgorzej nienawidzi i którym najbardziej pogardza—największego despoty *Kronlandu!*

— Zapewniam cię, że tylko najprzebieglejszym z fortelów udało mu się podejść mnie, że wysłuchałem tych oszczerstw!

— A więc teraz ja, nie fortelem, ale prosto i otwarcie zmnszam cię, ażebyś z kolei wysłuchał, co ja powiem. Wysłuchawszy oskarżeń, posłuchaj i obrony mojej, a wówczas dopiero wyrzekniesz sąd swój nademną.

— Aranko, to zbyteczne!

— Nie zbyteczne. Pozwól. Ja znam zarzuty, jakie mi ten człowiek stawia. A kobieta, gdy raz jest oskarżoną, tem samem jednocześnie jest już potępioną. Społeczeństwo jest bezlitosnym, a częstokroć uprzedzonym i nielogicznym sędzią. Ojcobójca ma obrońców: kobieta potępiona nie ma prawa żądać, ażeby się kto za nią ujął. Kogo sądy skarżą, jeszcze mu wolno apelować, do łaski najwyższej się zwracać; wreszcie nawet wtrąconym już będąc do lochu, wie, że gdy czas oznaczony przeminie, wolność i prawa będą zwrócone. Ale kobieta, którą społeczeństwo oskarżeniem plami, od nikogo nie może się spodziewać zmiłowania, potępioną już jest na całe życie, i—jedną jedyną ma tylko instancję, do której apelować chce i powinna: człowieka, którego kocha. Więc słuchaj:

Szymon ujął Arankę za rękę, prosząc, aby usiadła na kanapie.

— Nie. Oskarżonemu przystoi bronić się stojąc. Ty siądź, tu, przy stole. Ot—nawet i krzyż tu stoi.

Szymon usiadł, aczkolwiek niechętnie; lecz nie przy stole, a na kanapie. Nie miał ochoty na scenę, którą przewidywał. Chcąc się ożenić z Aranką, doskonale wiedział co robi, *kogo* bierze; nie potrzebował na to objaśnień matki, ani Zoltana. Sceptyk i cynik do gruntu, bronił się w tej chwili od nudów tem tylko, że zamierzył studyować, jak też dalece rozprzegliwą okaże się fantazyja kobiety, pragnącej ocalić swoje *pozory*.

Aranka stanęła w pozie dramatycznej, splótlszy bezwładnie opuszczone dłonie. Mogłaby ująć za Norinę w ostatniej odsłonie: „Więc poznaj teraz, kim jestem!”

— Prawdziwe moje nazwisko jest Zofia Arnóti. Imię Aranka otrzymałam dopiero przy bierzmowaniu. Mam lat dwadzieścia pięć, jestem panną, rzymsko-katolickiego wyznania. Ojciec mój był *regens chori*, majątku nie posiadał żadnego. Matkę straciłam we wczesnem dzieciństwie. Gdy podrosłam, nauczono mnie szyć i haftować: pracowałam dla zarobku. Miałam głos piękny; ojciec mój, jako muzyk, nauczył mnie śpiewać. Więc w święta i niedziele śpiewałam w kościele najtrudniejsze oratoria. Byłam szesnastoletnią dziewczyną, gdy mnie poraz pierwszy ujrzał hrabia Zoltan Bárdy. On podówczas był także młodzieniaszkiem, który dopiero przed niedawnym czasem figurować zaczął w świecie. Smutne było to pierwsze nasze spotkanie: na pogrzebie mojego ojca. Hrabia był opiekunem naszej parafii. Odrazu, za pierwszym widzeniem zaproponował mi, ażebym zamieszkała przy baronowej w charakterze panny do towarzystwa; nie mając nic innego do wyboru, przyjęłam ofertę z wdzięcznością. Pani baronowa była dla mnie bardzo łaskawą, ona sama i wszyscy domownicy tak postępowali ze mną, jak gdybym należała do rodziny mojej pani. Powierzony mi został zarząd całym domem. Pojmiesz to jednak, że tam, gdzie młody chłopiec z młodą dziewczyną pod jednym dachem mieszkają, życzliwość i przyjaźń zamieniają się niedługo w poufałość, która przy niedoświadczeniu jednej strony, a gorącej krwi drugiej, sprowadza to, o czem ani jedno, ani drugie na razie wcale nie myślało. Pani baronowa spostrzegła pewnego razu, że jest dla mnie nietylko matką przybraną, ale czemś więcej jeszcze — swiekrą... Nastą



piły gwałtowne, gorszące sceny między matką a synem, na skutek których zmuszona zostałam dom baronowej opuścić. Hrabia zaprzysiągł uroczyście, że skoro tylko dojdzie do pełnoletności, pojmie mnie za żonę. Od tego terminu jednakże dzieliło nas jeszcze kilka lat długich, które przecież trzeba było czemś zapełnić, musiałam się czemś zająć, zdobyć sobie jakąś pozycję. Sam hrabia poddał mi myśl, ażebym wstąpiła do teatru i była śpiewaczką, zanim się będzie mógł ze mną ożenić. Usłuchawszy jego rady, stałam się niebawem ulubienicą publiczności, a rozgłos mój, że nie powiem sława, tak daleko sięgnął w krótkim czasie, że jak grad sypnęły się do mnie świetne widoki rokujące zaprosiny z za granicy, których gdybym była nie odrzucała, dzisiaj byłabym już na cały świat słynną artystką. Bo istotnie wszyscy mi to przyznają, że taki piękny głos altowy, o tak olbrzymiej skali, miała przedemną tylko jedna Alboni. Cóż, kiedy mnie hrabia nie puszczał. W nagrodę za to, otaczał mnie sam przepychem i zbytkiem. Przeciwnie baronowa — wszelkich dokładała usiłowań, najwymyślniejsze wynajdywała sposoby — przyznać wszakże muszę, iż sposoby uczciwe — ażeby mnie ztąd oddalić. Na własny koszt sprowadzała z obcych krain impresaryów, aby posłuchawszy mego śpiewu, olśniewającymi propozycjami wywabili mnie za granicę; przez usta różnych znawców, melomanów, starała się mnie nakłonić, abym wyjechała do Wiednia, albo do Paryża, u najpierwszych mistrzów wyżej kształcić się w śpiewie. Niczem się uwieść nie dałam: nad wszystkie pokusy silniejszą była moja wierność hrabiemu. Wówczas to wybuchnęła ta nieszczęśliwa wojna, do której nieopatrznie i hrabia dał się wplątać, a której skutkiem było spustoszenie, wyniszczenie kraju, smutny przewrót w ogólnych stosunkach społecznych, i rozłaka między

mną, a moim narzeczonym. Czy to, co mówię, zgadza się z tem, co hrabia opowiadał?

— W zupełności.

Tak jest; bo dotychczas Aranka mówiła prawdę.

— Przez całe pół roku nie miałam od hrabiego, ani o nim żadnej wiadomości. Najgłębiej jednak przekonana jestem, że nie pochodziło to z jego własnej winy. Całe życie towarzyskie w stolicy było rozbite, nie istniało wcale. Nikogo znajomego spotkać nie było można w mieście, wszyscy się gdzieś podzieli. Ja, przyzwyczajona już od lat kilku do wygod, do komfortu, naraz ujrzałam się pozbawioną nie tylko tego, ale wprost chleba. Zaczęła mi grozić najczarniejsza nędza. Pomyśl tylko i zestaw te dwa pojęcia: piękność—głód!...

— No a twój głos? twój talent?

— Wiele też znaczy głos i talent wśród ogólnej, powszechnej zawieruchy, jaka nie tylko u nas, ale wszędzie, na całą niemal Europę, w dniach onych powiała! Talent mój! On to był właśnie losu mojego błędnym ognikiem... lub może—gwiazdą przewodnią. Wówczas jednakże, na razie, nic nie znaczył. Zagraniczni impresaryowie, którzy mnie poprzednio angażować chcieli, sami pobankrutowali, a wreszcie, wierząc w stałość hrabiego Zoltana, nie byłabym mu i wtedy złamała wiary. Czekałam na niego z uporem niezłomnym, odważnie stawiając czoło głodowi i nędzy. Gdy umilkł wreszcie szczeł oręza, to ztąd, to zowąd powracać zaczęli dawni aktorzy, śpiewacy, o ile im wojna oszczędziła śmierci lub kalectwa. Porzucali mundury honwedów, pogolili twarze, i znów zawiązywać zaczęli trupy artystyczne. Aliści — przy nowym porządku rzeczy, aktorzy, chcąc dawać publiczne przedstawienia, musieli mieć na to specjalne upoważnienie władzy, pozwolenie najwyższe. Powsta-

ło wahanie. Każdego zimno przechodziło na samą myśl o tem: nikt nie śmiał udać się do *niego* z prośbą o koncesyę. Nakoniec mnie namówiono, ażebym to uczyniła. Zdobyłam się na odwagę, której brakowało mężczyznom, i poszłam do potężnego władcy. I oto ujrzałam uprzejmego gentlemana, który prośbę moją spokojnie do końca wysłuchał, żadnych nie stawiając trudności, podpisał akt pozwolenia, sam mnie zaprowadził do kancelaryi, gdzie podpis jego stwierdzono, a potem, towarzysząc mi aż do przedpokoju, zapewnił najgoręcej, że ilekroć udam się do niego z jakąkolwiek prośbą, nie odmówi nigdy życzliwego poparcia. Cóż ty na to?...

Szymon w miejsce odpowiedzi, powtórnie ujął Aranę za ręce i zmusił ją tym razem, aby zajęła miejsce obok niego na kanapie.

— Proszę cię! Mów dalej!

— Więc powróciłam z tryumfem do mojego nowo utworzonego towarzystwa dramatycznego, ze zdobytą koncesyą w rękę. I oto—pierwsze to zwycięstwo stało się podwaliną mojej złej sławy, kanwą, na której ludzie zaczęli haftować najohydniejsze oszczerstwa na mnie. A ja, niebaczna, ani podejrzewając, żeby mnie to mogło plamić, z całą gotowością przychylnego serca każdemu nieszczęśliwemu służyłam natchętniej mojem pośrednictwem do groźnego satrapy. Iluż skazanym otworzyłam drzwi więzienia! Ilu ocaliłam od wygnania! Ilu nędzarzom dopomogłam nowe rozpocząć życie! Ilu pięknym instytucyom tutejszym umożliwiłam i zapewniłam rozwój! Ilu zrujnowanym powróciłam mienie! A ci wszyscy, którzy mi zawdzięczali swoje wybawienie, pierwsi potem rzucili na mnie kamieniem potępienia.

„Łatwo jej!—jest kochanką satrapy...”

To usłyszał o mnie hrabia po swoim z Włoch powrocie. Ale że ten powrót mnie jednej zawdzię-



czał, o tem może i do dziś dnia jeszcze nie wie... I gdyby chociaż był przyszedł do mnie z wyrzutami, z przekleństwem, byłabym mu powiedziała: wysłuchaj mnie w pierw, a potem dopiero odtrąć, albo zabij! Lecz nie. On mi się wcale nie pokazał na oczy: fałszywym wieściom ucha przychylił, uwierzył, i nie sprawdziwszy—pogardził. Oto wszystko, co mam na swoją obronę. Złam łaskę nademną, jeżeli uznajesz, żeś winna!

Szymon wstał od boku Aranki, podszedł do biurka, a z pomiędzy pliki papierów wyjąwszy ów pugilares z listami, oraz miniaturą, silne okazując wzruszenie, podał go Arance.

— Oto moja odpowiedź. Mój brat starszy, Zoltan, wręczył mi ten pugilares, zawierający listy osoby, o której stosunku ze sobą mi opowiedział, nie wymieniając jednakże jej imienia, ani nazwiska, a którą dopiero, wszystko wysłuchawszy, sam poznałem, ujrawszy tu przy tem jej miniaturę. Paczka z listami jest zapieczętowana; zostawił mi do woli: zapoznać się z ich treścią, czy też—w ogień wrzucić nieczytane.

— Ach!... Więc był zdolnym posunąć się aż do takiej niedyskrecyi?!—wykrzyknęła z uniesieniem gniewu Aranka.

Ale śniada jej twarz widocznie straciła już umiejętność powlekania się rumieńcem, gdyż pomimo wyraźnego zmieszania ani trochę nie stała się różowszą.

— Całą tę paczkę, jak widzisz, nietkniętą, do własnych rąk ci oddaję.

Oczy kobiety błysnęły jak żrenice wilka.

— Odwdzięczę się za to! — szepnęła przez zacisnięte zęby, co wraz z grą wszystkich mięśni z twarzy nie dozwalało wątpić, komu i jak się odwdzięczy.

Szymon ścisnął namiętnie dłonie Aranki.

— Oznajmiłem dzisiaj hrabinie o mojem postanowieniu. Już wie, że jej protesty na nic się nie przydadzą. W jej oczach nawet list do ciebie pisałem.

— I ja także uczyniłam krok naprzód ku urzeczywistnieniu naszych zamiarów. I ty także doznasz dzisiaj niespodzianki, która cię zapewne ucieszy.

To rzekłszy, wyjęła z za gorsu papier, złożony we czworo, i podała go Szymonowi.

Pan sekretarz o mało nie wykrzyknął z radości.

— Nominacya na naczelnika kancelaryi?!

Uścisnął czule Arankę.

— Jesteś moim aniołem opiekuńczym!

Swoje dobrodziejstwo umiała Aranka jeszcze podnieść dołączonem po chwili objaśnieniem.

— Udało mi się to uzyskać, pomimo, że Jego Ekscelencya od pewnego czasu jest bardzo jakiś rozdrażniony, zdenerwowany... Cała przychylnność, dobre zamiary, jakimi z nakładem tylu starań umiałam go ożywiać względem mieszkańców tutejszego kraju—wszystko prysnęło, rozwiało się bez śladu po tym niefortunnym, grubiańskim koncepcie, jakiego się dopuścił twój starszy brat z owem polowaniem. Pan życia i śmierci bytu powierzonych swojej opiece poddanych, przyzwyczajony do hołdów, czołobitności, kadzideł, pochlebstwa, przed którym każdy drżąc, ustępuje z drogi w głębokiej pokorze, naraz pada ofiarą nieokrzesanego żartu, i to żartu, który, między nami mówiąc, przed całym krajem okrył go śmiesznością. Tam do licha! Piętna śmieszności nie znosi na sobie nawet pajac cyrkowy!

— Haha! A gdyby tak jeszcze Jego Ekscelencyi nawinął się przed oczy list genialnego hrabiego,

oddany mi do zniszczenia przez tego dobrodusznego idyotę, naczelnika komitatu!... Dostałby hrabia za swój dowcip takiego psztyczka w arystokratyczny swój nasek, że wywinąłby nasek koziółka.

— List? Cóż to za list? — podchwyciła żywo Aranka.

Szymon przygryzł język. Właściwie mimowoli mu się tylko wyrwało o tym liście, bo nie miał jeszcze czasu obmyśleć, w jaki sposób nim zmanipulować.

— Ach, dosyć już tej rozmowy o urzędowych sprawach! Wszystko mi się to wydaje mdłe, nudne, męczące, wobec niewypowiedzianego szczęścia, jakiego doznaję, ciebie tu widząc, mogąc cię nazwać moją narzeczoną, i wiedząc na koniec, że posiadam twoją wzajemność!

To mówiąc, przytulał Arankę do siebie, obie jej ręce cisnąc do swej piersi. Białe welon wyżej jeszcze odsłonił z jej twarzy, aby się lepiej mógł upajać widokiem jej rysów.

— Skoro jestem od dziś naczelnikiem kancelaryi, to możemy już mówić o terminie ślubu!

Aranka uwolniła się łagodnie z objęć Szymona i powstała z kanapy.

— Nie jeszcze, mój drogi! Jesteś dopiero „tylko” naczelnikiem kancelaryi, z pensją dwóch tysięcy złotych reńskich rocznie. To jeszcze o wiele za mało, ażeby się już żenić.

Pomyśl tylko: wyszedłszy za ciebie, musiałabym porzucić teatr, a znikąd innych dochodów nie pobieram. Jeszcze gdybym należała do personelu teatru dworskiego w Wiedniu, to zupełnie inne stanowisko: mogłabym być żoną urzędnika i jednocześnie brać udział w publicznych przedstawieniach. Ale to, tutaj, jest przecież tylko wędrowna trupa, która latem nie wie gdzie się podziać i naksztalt



bandy cyganów tułać się musi po prowincjonalnych dziurach. Wyjeżdżać zaś na gościnne występy—pewno ty sam nie pozwoliłbyś mi na to. Zatem musimy jeszcze trochę poczekać. Ale nie obawiaj się: niedługo. Słyszałam od naszego łaskawego orędownika, że naczelnika okręgu mają niezadługo powołać do Wiednia na posadę naczelnika oddziału przy ministeryum.

To była dopiero wiadomość radosna dla Szymona!

— Czyż być może? Jakiż świetny awans mnie czeka! Wówczas bowiem naczelnikiem okręgu zostanie mianowany Lebegut, ja zaś obejmę jego miejsce—naczelnika komitatu!

Aranka ciaśniej owinęła welon koło twarzy, tak, że wychylały się z pod niego swobodnie tylko oczy i usta. Wszystko na niej było śnieżnie białe, tylko zwierciadła duszy odrzynały się na tem tle, jak dwie czarne plamy.

— Kto wie? Przy tej sposobności mógłbyś może większy jeszcze skok naprzód uczynić?...—szepnęła. — Wspomniałeś coś o tem, że naczelnik komitatu wręczył ci jakiś list hrabiego, który, gdyby się dostał w odpowiednie ręce, mógłby się stać narzędziem potężnego odwetu za owo sławne polowanie w lasach hrabiego. Pokaż-no mi ten list: niech go zobaczę.

Szymon uczynił zadość żądaniu Aranki.

Kobieta w bieli z natężeniem uwagi odczytawszy rozwinięty arkusz, i obejrzawszy go ze wszystkich stron dokładnie, pokręciła głową.

— Hm, naczelnik komitatu własnoręcznie nakreślił tu na rogu: „*Supprimatur.*” Gdyby ten papier wpadł w ręce wyższej od niego władzy, hrabia, wysadzony z siodła, wyleciałby w obłoki, naczelnik komitatu dostałby porządnego nosa i pozostałby so-

bie na swoim naczelnictwie do późnej starości, ty zaś, przy okazji awansu, zdystansowałbyś go zaszczytnie, sam obejmując naczelnictwo okręgu! Praktyczniej uczynisz, mnie dając te papiery, zamiast je nadarmo w ogień wrzucać. Ja cię uczynię naczelnikiem okręgu, i—te słowa dodała cichym szeptem—pałacu tego prawym właścicielem!...

Szymon w ekstazie padł na kolana przed genialną swoją protektorką, obejmując jej kolana.

— Jesteś mojem bóstwem!

— Do czasu jednak bądź rozważny i trzeźwy—mówiła kobieta. — Panem położenia dotychczas jeszcze nie jesteś. Wstań, usiądź i napisz list dziękczynny do Jego Ekscelencyi. Osobiście dzisiaj nikogo nie przyjmuje. Lecz listu od ciebie spodziewa się i czeka.

Szymon skwapliwie rzucił się do biurka, aby pójść za radą Aranki.

Założył do obsadki świeże pióro, wypróbował je starannie na boku, ażeby wysztychować pismo do Jego Ekscelencyi według wszelkich prawideł kaligrafii.

Wydawało mu się to rzeczą zupełnie naturalną, żeby list wysłać przez te same ręce, które mu nominację przyniosły.

Aranka tymczasem rozrywała się przeglądaniem pokoju. Dla młodych kobiet jest to prawdziwą zabawą znajdować się w gabinecie mężczyzny.

Z kolei zbliżyła się także i do pulpitu, na którym leżała roztwarta księga protokołowa. Zajrzała więc i do niej.

Pod ostatnim numerem zaznaczone tam było wydanie pasportu za granicę Paolowi Barkó.

Oblicze Aranki uległo nagle gwałtownej zmianie. Przeróżenie, gniew i zawziętość w jednym okamgnieniu skurczyły jej rysy nie do poznania, a całą

postać, jak prąd elektryczny, przebiegło drganie nerwowe.

— Wybacz...—szepnęła zdławionym głosem. — Pisz, pisz dalej, nie przeszkadzam ci, ale nie mogę czekać na twój list. Już dziesiąta godzina! Muszę się spieszyć na próbę. Do zobaczenia!

I nie podawszy nawet ręki narzeczonemu, nie czekając, żeby ją wyprowadził do przedpokoju, wybiegła, jakby ją spłoszyło jakieś widmo groźne. Na ulicach roztrącała przechodniów, pędząc w stronę teatru tak szybko, jak tylko pędzić zwykły artystki, które naprawdę są przerażone, jeżeli się spóźnią na próbę.

— Oj, dobrze, że pani przybywa; próba już rozpoczęta. Zaraz przyjdzie kolej na panią — temi słowy powitał ją reżyser w ciasnym korytarzyku za kulisami.

— Dziś nie będę śpiewała. Mam chrypkę.

— Niechże pani tak brzydko nie żartuje!

— Nie żartuję bynajmniej. Czy pan nie słyszysz? Wcale głosu nie mam.

Istotnie, mówiła z widocznym wysiłkiem i ledwie dosłyszeć było można jej słowa.

— Piorun i paraliż! Wszystkie łoże, wszystkie krzesła już wyprzedane.

— Niech mnie inna zastąpi.

— Co? w „Janie z Leydy?” Sopran ma śpiewać *Fides*?

— Więc dajcie „Ernaniego”.

— Ależ *Durchlaucht* już oddawna zamówił na dzisiejszy wieczór „Proroka!” Nic innego, tylko to właśnie słyszeć dziś pragnie, ponieważ przybyli do niego w odwiedziny jacyś dostojni goście z Wiednia.

— Niech zaczekają do jutra. Jutro może będzie zdrowsza.



— Niepodobna psuć porządku przedstawień! Jutro jest dzień dramatyczny przecież! A pojutrze opuszcza nas kapelmistrz, gdyż wyjeżdża do Rosyi.

— Tem gorzej dla niego! Każ mi pan sprowadzić doktora.

Wybiegła do garderoby, zostawiając reżysera w niepewności, dla kogo zdarzenie to ma być gorsze: dla Jego Ekselencyi, dla dyrektora, czy dla kapelmistrza?

— Będzie kłapa! — zdecydował rozpaczliwie, z racając się do przechodzącego dyrektora. — Capriciosa ochrypła i nie może dziś śpiewać. Pchnij-no pan kogo po doktora!

Na szczęście, dyrektor był człowiekiem doświadczonym, tudzież obdarzonym od natury temperamentem flegmatycznym.

— Nie doktora, ale już ja wiem, kogo jej potrzeba.

To rzekłszy, zbliżył się do tuby i przez zwinęte w tutkę notaty rekwizytowe, zatelefonował do kapelmistrza.

— Paolo, mój drogi, przyjdź-no tu na słówko!

W teatrze tym obowiązki kapelmistrza pełnił Paolo Barkó.

Mój złoty—szepnął mu dyrektor do ucha, gdy przybiegł: poskocz-no do primadonny i poddaj ją jakiej cudownej kuracyi, żeby odzyskała głos na dziś wieczór, bo zachrypła!

Aranka w swojej garderobie była zajęta pisanie listu.

Gdy Paolo wszedł do niej, poszarpała list z gniewem na drobne cząstki.

— *Pani* masz chrypkę podobno?

— Tak. Dobrze. Jeszcze mnie „panią” na-

zywaj! Czemuż nie ekscelencyą? — zawołała artystka z wyrzutem, głosem zupełnie pełnym i zdrowym.

— Cieszy mnie, że o ile słyszę, głos pani nie na tem nie traci.

— Mnie serce boli, nie gardło!

— Temu łatwo zaradzić.

— Więc zaradź! Tyś moich cierpień przyczyną!

— Pani!

— Dowiedziałam się, że wyjeżdżasz do Rosyi.

— Teraz się dopiero pani o tem dowiedziałaś?

Przecież tobie najpierwszej wspomniałem o tym zamiarze!

(Aranka mówiła Paolowi po imieniu, on ją zaś tytułował panią. Widocznie u Cyganów wszystko bywa naopak).

— Nie przeczę. Mnie pierwszej powiedziałeś o tem, żeś otrzymał z Petersburga korzystne zaproszenie, na co w odpowiedzi i ja tobie udzieliłam nikomu dotychczas jeszcze nie znanej wiadomości, że mnie również, także z Petersburga, taka sama życziwa i zaszczytna spotkała propozycja. Z jakimże uniesieniem, z jaką radością rozmawialiśmy wówczas o otwierającym się przed nami szlaku do wielkiego świata, do sławy europejskiej! Jakże nas cieszyła nadzieja zerwania raz z tem życiem włóczęgów, wegetujących z dnia na dzień, a wstąpienia na drogę tryumfów, należnych takim, jak my, artystom!

— Właściwie pani tylko unosiłaś się i cieszyłaś, bezemnie. Ja w tych zachwytach nie brałem udziału, jeżeli przypomnieć sobie raczysz.

— Więc dobrze. Być może. We własnej ekstazie mogło mi się tylko zdawać, że ty ją ze mną dzielisz... Z tej twojej twarzy martwej, nieruchomej, jak u sfinksa, nic wyczytać nie można!

— Ależ ja dosyć wyraźnie *mówiłem*. Wierzaj mi pani, że ja sam o siebie się boję, czy zdołam odpowiedzieć wysokim wymaganiom krytyki zagranicznej, pomimo, że przez długie lata gruntownie studyowałem muzykę; tobie zaś, na twoje projekty, szczerą dałem radę, żebyś, jeżeli chcesz swoim głosem Europę czarować i po całym świecie zbierać oklaski, to przedtem, przynajmniej na rok jeden pojedź do Wiednia i szczerze popracuj nad swoim talentem pod kierunkiem któregośkolwiek z pierwszorzędnych profesorów śpiewu.

— Et, pleciesz trzy po trzy. Wszyscy powiadają, że Alboni nie śpiewała lepiej odemnie. Główna rzecz, zewnętrzne warunki, jakie posiadam: sam dźwięk mojego głosu, gdzieśbądź pokazałabym się, jak świat okrągły, zapewniłby mi zwycięstwo!

— Skoro takie jest pani przekonanie, to możesz pani jechać do Petersburga.

— Możesz—pani—jechać—do Petersburga!...—powtórzyła Aranka powoli, każdy wyraz z osobna akcentując, chcąc naśladować poważną, głęboką intonację głosu Paola. Ze mogę jechać, gdzie mi się podoba, o tem wiem i bez rady pierwszego lepszego. O czem innem mówiliśmy wówczas!

— Tylko pani mówiłaś, ja słuchałem milcząc.

— Milczałeś, ale z ust twoich nie wyszło ani jedno słowo odmowy, lub przeczenia. Mówiliśmy o wspólnej sławie, o wzajemnie dzielanych laurach, o współzawodnictwie w dziedzinach sztuki, która nasze imiona razem łączyć będzie... I o tem, że dusze nasze połączą pęta najsilniejsze i najwznioślejsze ze wszystkich, jakie istnieją na świecie, pęta splecionych z sobą wspólnych laurów zwyciężskich!... A ty oto, po tem wszystkiem naraz odjeżdżasz!

— Ja to tylko czynię, o czem właśnie mówił. Przyjąłem stawiane mi propozycje, i oto



nadszedł już czas, że muszę im zadosyć uczynić. A pani, cóżes odpowiedziała dyrektorowi z Rosyi?

Aranka, kipiąc rozdrażnieniem, gwałtownie pościągając sobie z rąk rękawiczki i wyjęła z kieszeni list złożony w kilkoro, koloru blado-różowego.

— Wszystko ci powiem, wszystko wiedzieć musisz. Stoję na przełomie. Ty mi doradź, którą mam wybrać z dróg, otwierających się przedemną! Przeczytaj ten list.

Paolo, przebiegłszy oczyma treść pisma, napowrót oddał go Arance.

— Baron Szymon Lenke pyta, czy pani zechcesz być jego żoną.

— No, i cóż ty na to?

— Ja na miejscu pani uciekłbym przed takim losem jeszcze dalej, niż do Petersburga.

— Z tobą?... We dwoje?

Paolo wzruszył ramionami.

— W dzisiejszych czasach wyrobienie paszportu wymaga niemało czasu; musiałabyś pani wpięrw jeszcze być w Wiedniu, a ja nie mogę zwłóczyć z wyjazdem.

— Mógłbyś mnie wpisać do swojego paszportu, jako towarzyszkę.

Jak tygrys ofiarę, tak Aranka magnetyzowała czarem swego spojrzenia pięknego artystę cygana.

— Już tam jest ktoś wpisany.

— Kto taki?!

— Moja żona.

— Cytera?—Hahaha! Czy cię szaleństwo opętało, ażeby w tak daleką drogę, w obce kraje, zabierać z sobą głupią gęś nieokrzesaną, nie umiejącą ani słowa przemówić innym językiem, tylko po węgiersku, a i po węgiersku plotącą tylko same brednie, od których uszy wędzną? Żonę chcesz wziąć z sobą w podróż artystyczną, chyba po to tylko,

ażebyś miał przy sobie niby strunę bolącą, za którą każdemu bezkarnie będzie wolno szarpać! Chcesz się narażać na ciągłą śmieszność, być przedmiotem bezustannych drwin wśród obcego świata? Wszakże i tu nawet nie masz odwagi wprowadzić jej w koła towarzyskie, bo wstydzisz się za nią, rumienisz!

— Pani! Należę do rasy wschodniej, której mężczyźni o swoich żonach stałe zachowują milczenie.

Aranka w pałające dłonie ujęła rękę artysty, a oddech jej, niby lawa gorąca, oblewał twarz jego, gdy stłumionym głosem szepnęła mu do ucha:

— Zostaw ją tu, niech domu pilnuje, a mnie tam z sobą zabierz!

Paolo Barkó dumnym ruchem głowy odrzucił włosy z czoła i odparł na to poważnie i stanowczo:

— Kiedy tak, to przyjmij pani odemnie teraz inną radę. Nie odtrącaj ręki barona Lenke, a dziś wieczorem z całym talentem, na jaki cię stać będzie, odśpiewaj arję Fides w „Proroku”, ażeby *Durchlaucht* nie miał powodu się gniewać. Zaczynam uwerturę.

Lecz Aranka zastąpiła mu drogę, nie puszczając do drzwi.

— Czekaj, jeszcze nie wszystko. Powiedziałam ci, że stoję na przełomie... Wysłuchać musisz do ostatniego słowa tego, co chcę, ażebyś wiedział. Mieszka we mnie dwóch szatanów: jeden dobry, drugi zły. Lecz demony obydwu. Jeden jest to duch bujny, roziskrzony, pełen zapału, fantazyi, żyjący tylko chwilą obecną, poszukujący tylko rozkoszy, które gotów okupywać poświęceniami bez liku, z zapomnieniem o wszelkich prawach Boskich i ludzkich, a słuchający li-tylko głosu krwi, lub kaprysu własnego. Oto lepszy z moich dwóch demonów! Drugi jest zimny, wyrachowany i okrutny. Nie zna

innej rozkoszy nad jęki i bóle tych, których nienawidzi... Wybieraj! Którego demona ty dla mnie wybierzesz, temu będę posłuszna.

— Zbyt skromne w społeczeństwie zajmuję stanowisko, ażeby moje zdanie mogło zaważyć na szali czyichkolwiek losów.

— Najmarniejszemu ze stworzeń w przyrodzie bywają nieraz powierzane zadania wszechświatowej wagi! Ten pośpiech twój gwałtowny, ta nagła decyzja wyjazdu, nasuwają mi podejrzenie, a nawet pewność, że impresaryo, kontrakt i koncerty są tu tylko pozorem, pod którym inne cele się kryją, dla nich to tak ci pilno za granicę wyjechać!

— Doprawdy, mógłbym na to odpowiedzieć tylko śmiechem, gdyby nie głęboki szacunek, jaki mam dla pani.

— Nie urągaj mi swoim „głębokim szacunkiem!” Odpowiedz mi na to pytanie: czy kochasz hrabiego Zoltana Bårdy?

— Czy kocham hrabiego Zoltana Bårdy? Na całym świecie, jak długi i szeroki, niema drugiego człowieka, którego bym tak kochał, jak jego. Ojca mego nie znałem; on mi go zastąpił. Od niego tylko jednego nie doznałem nigdy pogardy za to, że jestem cyganem. O, tak jest: uwielbiam go i kocham nad życie. Za niego chętnie bym śmierć poniósł.

— Doprawdy?... To wiedzże, iż wolność, a może i życie tego człowieka od ciebie w tej chwili zależy.

— Odemnie?...

— Tak jest, od ciebie, przezemnie. Dotychczas jeszcze tylko odemnie, to jest od istoty, która go nienawidzi całą potęgą swojej namiętnej natury, którą zepsuł, w przepaść hańby wtrącił, zdeptał i pogardził. Ten „święty” hrabia!... A otóż głowę



jego ja teraz trzymam pod moimi stopami; co z nią uczynię, twojem dziełem będzie. Jeżeli zawołasz: „zostawmy nienawiść i zemstę ludziom trzeźwym, rozumnym! sami idźmy za szaleń, za porywem fantazyi! precz z kielichem gorzkiej trucizny; lepiej bogom odkładać nektar, zakazany ludziom eliksir rozkoszy!” Jeżeli tak powiesz, wówczas rozedrę ten papier, który w ręku trzymam, na miliardy cząstek, niechaj z niego zamiast nieszczęścia na głowę hrabiego Zoltana, na nasze głowy spłynie rój motylów białych, jako dobra wróżba upojen, jakich zaznawać w życiu umieją tylko artyści!

— Co ten papier zawiera?

— Widzisz, jaki bezmiar zaufania mam do ciebie. Dzieląc tę tajemnicę z tobą, popełniam rodzaj zdrady: a jednak nie cofam się przed tem. Pismo to podstępnie, ukradkiem zabrałam z biurka barona Lenke. Jest to list hrabiego Zoltana, adresowany zagranicę w celach zbrodniczych, przeciwnych panującemu tu dziś porządkowi rzeczy...

— Nie wierzę, ażeby hrabia taki list napisał.

— Nie wierzysz?

— Nie. Ja znam hrabiego. Jeżeli komu nie sprzyja, w oczy mu to powie, jest jego wrogiem na otwartem polu. Ale skradać się, spiskować, strzelać z po za płotu, to nie jego rola. Kto złożył dowody meztwa z orężem w ręku, ten skrytobójstwem nie splami się nigdy.

— Tere-fere. Najpiękniejsza deklamacja twoja nie zmaże dowodu, który istnieje. A gdy ten dowód dostanie się tam, gdzie wart być pokazany, pan hrabia zostanie ujęty i stawiony przed sąd wojenny.

— To bardzo być może. Ale tak samo, jak będzie ujęty, tak będzie i puszczony, skoro wykaże swoją niewinność.

— Swoją niewinność i swoich nieprzyjaciół może, którzy go ścigają i prześladują, jak zawzięta Nemezis, tak zuchwale i krzywołomnie przez niego wyzywana! Tak jest, krzywołomnie, bo już raz po otrzymanej amnestyi, gdy odzyskał swobodę, dał słowo honoru szlachcica węgierskiego, że już nigdy w życiu nie da się zaplątać w żaden bunt, w żaden spisek przeciwko władzy. A teraz i *to* słowo także łamie, jak inne złamał niegdyś... znów zdradza nikczemnie!

— Temu nie mogę dać wiary.

— Więc nie wierz, o to mi nie chodzi; ale temu wierzysz chyba, bo widzisz, jaką niewolnicą twoją dobrowolnie się staję, skoro cię o tem wszystkim uprzedzam. Gdy Zoltana Bárdy ujmą, tobie jednemu będzie wiadomo, kto go wydał, i ty jeden wiadomości tej wszystkim będziesz mógł udzielić, aby z błotem mieszano, pogardą zdeptano tę, którą dziś jeszcze miasto całe, tłumy uwielbiają! Widzisz, uczyniłam cię bóstwem mojem, panem mojego losu! Miej litość nademną, powiedz, abym tego nie czyniła! Zabierz mnie ztąd, wywieź daleko, abym uczynić tego nie mogła! Powiedz to słowo, o które błagam i które okupię rozszarpaniem listu Bárdy'ego. Możesz mnie zgubić, albo zbawić!

— Zofio!

— Nakoniec! Zdecydowałeś się przecież po imieniu mnie nazwać. Imieniem tem wołano na mnie w dziecińczych moich latach, gdy podczas Mszy św. śpiewałam *Ave Maria* na chórze, a ty towarzyszyłeś mi słodkimi, ściszonemi tonami organu. O, jaki dobry wówczas chłopiec był z ciebie, a ze mnie jaka złośliwa dziewczyna! Jak ja cię męczyć umiałam, a ty, jakeś się męczyć pozwalał!..

— Proszę cię... mówmy rozsądnie. Hrabia Zoltan — albo napisał ten list — lub go nie napisał.

Jeżeli napisał—to nie poprzestanie na tym jednym liście, a niebawem i czynem zacznie dowodzić tego, o czym pisze. Wówczas — rzecz prosta — zostanie ujęty. Jeżeli go zaś nie napisał, to potrafi się obronić i wykazać, że jest niewinnym. Pani zaś, jeżeli zechcesz posłuchać ostatniej mojej rady, to list ten odniesiesz tam, z kąd go wzięłaś, ażeby przypadkiem i *narzeczony* twój w jakąś niemiłą przygodę nie został wplątany.

— Tak?!! A więc: „narzeczony” mój? Więc chcesz, ażebym przyjęła rękę barona Szymona Lenke? Twojego brata mlecznego. I żebym była godną żoną takiego męża. A ty pozostaniesz mężem godnym swojej żony. Dobrze. Już skończone. Idź i powiedz dyrektorowi, że odzyskałam głos, chrypka przeminęła. Zażyłam dawkę cukru arsenikowego... albo zresztą co chcesz skomponuj. Będę dzisiaj śpiewała partyę Fides w „Proroku”. Przejdę samą siebie. Tak będę grała i śpiewała— jak jeszcze nigdy!

Paolo Barkò, jak na grzecznego kapelmistrza przystało, ucałował rączkę primadonny.

— Czekaj! Jeszcze jedno słowo. Ty dzisiaj zapewne złożysz wizytę hrabiemu Zoltanowi... naturalnie dlatego tylko, żeby się z nim pożegnać przed wyjazdem. Nie krępuj się dyskrecją—możesz mu powtórzyć wszystko, co wiesz odemnie, że jest zagrożony więzieniem. Będzie jeszcze miał czas usunąć się ztąd w miejsce niewiadome. Przed ranem może stanąć na granicy. Niechaj go tylko ręka Opatrzności broni od tego zuchwalstwa, aby mi się dzisiaj pokazał na oczy w loży, podczas przedstawienia... bo—jako żywo! jeżeli go tam ujrzę, zapomnę, że kobietą, że człowiekiem jestem! Prześcignę wszystkie potwory. A teraz idź. Masz czas ratować tego, którego tak kochasz!



Muzyk dumnie potrząsnął głową.

— Panno Arnóti. Ja panią o rady nie proszę, jak mam postępować, co robić i co mówić. Hrabiego Zoltana już pożegnałem, a donosicielem nie byłem i nie będę nigdy. Ktokolwiekby zresztą hrabiego Bårdy w tym wypadku do ucieczki nakłaniał, złą oddałby mu przysługę, albowiem żadne, najstaranniej przeciwko niemu pozbierane dowody nie miałyby dla niego tak fatalnego znaczenia, jakiego wrogom jego dostarczyłby odrazu fakt jego ucieczki. Hrabiego Bårdy ujrzysz pani dziś wieczorem, siedzącego w łoży, a jeżeli dobrze będziesz śpiewała, zapewne otrzymasz od niego zasłużone brawo.

Z temi słowy artysta skłonił się i opuścił pokój primadonny.

. . . . .  
. . . . .

Przedstawienie wieczorne świetnie się udało. Teatr był przepelniony wyborową publicznością. Oklasków, wywoływań, wieńców i bukietów było bez liku.

W krzesłach krążyła pogłoska, iż kto wie, czy nie jest to już ostatni występ „boskiej” Aranki.

Niektórzy utrzymywali, że *diva* wyjeżdża, zawarwszy na bajecznie korzystnych warunkach kontrakt z operą petersburską. Inni jednakowoż zaprzeczali temu, twierdząc, iż wiedzą z pewnego źródła, że Aranka w towarzystwie Paola Barkò wybiera się w podróż artystyczną naokoło świata, jak słynna Lagrange. Najlepiej poinformowani atoli pouczali innych, że zachwycająca artystka pozostanie na gruncie, lecz weźmie rozbrat z Olimpem, ponieważ przyrzekła rękę jednemu z wybitnych osobników z arystokracji, który ofiarował się ją uznać za go-

dną przedstawicielkę swojego domu, tudzież nazwiska.

Pogłoski te oczywiście pobudzały publiczność do coraz huczniejszych zachwytów nad łabędzią pieśnią artystki.

I Zolta był w swojej loży. Przyjmował w niej dwóch gości, im też uprzejmie odstąpił dwa przednie siedzenia, a sam, skromnie, jak fiolek, w głębi zajął krzesło.

Podczas arii koronacyjnej jednakże wysunął się naprzód, tak, że atletyczna jego postać naraz zapanowała nad otoczeniem.

A Fides rozpoczynała właśnie szereg swoich przekleństw.

Dostrzegła natychmiast hrabiego Bårdy w loży.

Na scenie, ze świątyni, rozbrzmiewały uroczyste tony hymnu: *Domine salvum fac regem*—a Fides, z ręką wyciągniętą prosto w kierunku Zoltana, rzuca mu w oczy najefektowniejszy frazes swojej partyi: „I bądź na wieki wyklęty!”

Aluzya była tak wyraźną i tak nieosłoniętą żadnemi pozorami, że między publicznością wybuchnęły szepty,

Świadomość, że jej gest został zauważony i zrozumiany, bardziej jeszcze rozpalila Aranę, grała znakomicie, niezrównanie. Właściwie bowiem — nie było to już grą.

Po skończeniu aktu teatr się zatrząsł od burzy oklasków i okrzyków, nazwisko Aranki rozlegało się niby grzmot przewlekły, długo niemilknący.

Gdy ukazała się z po za odchylonej kurtyny i njrzała Zoltana, z zapalem bijącego brawo, duszą jej i ciałem szarpnął prąd wściekłości. Zamiast się klaniać, stanęła z głową hardo odrzuconą, zaciśniętymi w pięści rękoma wygrażając przed siebie i wyglądała jak wcielone bóstwo zemsty. Cała jej po-

stać zdawała się wołać: „I ty jeszcze śmiesz mi uragać swoim aplauzem”?!...

Dwanaście razy ją wywołano przed światło kinkietów.

.... W kilka godzin potem, o drugiej po północy, ujęto hrabiego Zoltana Bãrdy i okutego w kajdany wywieziono do Gyulafehérváru.

---



## ROZDZIAŁ VII.

---

### Raut u „ich Ekscellencyj”.

Dziesięć miesięcy minęło od tej pory, a przez ten czas, względnie tak niedługo, zaszło dużo ważnych zmian.

W pierwszym rzędzie postawić tu wypada, że baron Szymon Lenke został ekscellencyą. Aristokratyczne nazwisko, jakie nosił, tudzież dawne zasługi jego ojca, z samej natury rzeczy stawiały go już odrazu wyżej od wielu innych śmiertelników, pnących się na stopnie hierarchii urzędniczej—tem więcej, iż rząd niemiecki nie miał tak dalece wielkiego wyboru między węgierską arystokracją. Mało kto z jej sfer stawał do konkursu na tem polu... I to również wysoce zalecało go w oczach rządu, że studyując nauki na uniwersytecie niemieckim, nabył dokładnego wyobrażenia o cywilizowanej, europejskiej metodzie gospodarki państwowej, o dawnej zaś, rdzennie węgierskiej, wydanej obecnie na pastwę wzgardy i zapomnienia, nie miał absolutnie żadnego pojęcia. Tak jest, bywają w życiu takie wypadki, w których nie znać czegoś, nie wiedzieć o czemś, poczytywanem jest za największą zasługę.

Podobnie dziewiczą naiwność zachowywał pan Szymon we wszystkim, co dotyczyło jego narodowości. Cenne te przymioty jego umysłu i charakteru uwiecznione atoli zostały ostatnio czynem, świadczącym o tak bezgranicznej lojalności, że na owoczesne stosunki nawet niepodobna było znaleźć drugiego podobnego przykładu. Mianowicie wpadł na trop, odkrył, a odkryciem swoim równocześnie umorzył w zarodku pewien spisek, sprzysiężenie, którego następstwa byłyby przyniosły opłakane skutki dla miejscowego ogółu, a uczynił on to, dodać trzeba, z pominięciem wszelkich osobistych względów pobocznych, nie dając przystępu do swego serca żadnej słabości, pomimo, iż wiedział biedak, że między wielu innymi, idzie tu także i o jego przyrodniego brata. Za te niezwykle swoje zasługi słusznie też obsypany został hojnemi nagrodami; chociaż niechętni (a któż ich niema?) szeptali zcicha pomiędzy sobą, iż szczęście swoje zawdzięcza on nietylę jeszcze zasługom własnym, jak raczej poślubieniu bardzo wpływowej faworyty wszechpotężnego gubernatora Kronlandu.

Przez czas krótkich dziesięciu miesięcy ze skromnej posady sekretarza komitatowego podskoczył naraz na godność naczelnika okręgu; dostał order Leopolda, tytuł ekscellencyi—a nadto i coś więcej jeszcze.

Hrabia Zoltan został skazany na dziesięć lat więzienia w fortecy i wywieziony do Jozefstadtu. W owych czasach podobnych wyroków nie ogłaszano publicznie, odczytywano je tylko bezpośrednio interesowanym podsądnym, jednakże bez przytaczania żadnych wywodów. Mogli apelować *intra dominum*.

Wielkie włości Bårdy'ch skonfiskowano; nie wciągnięto ich przecież na rzecz skarbu, lecz tym-

czasowo pozostawiono pod zarządem barona Szymona Lenke. Dalsze jego zasługi miały rozstrzygnąć, czy nie zażbyt hojną byłoby łaską oddać mu je zupełnie na własność.

Można też sobie wyobrazić zapał, z jakim jął pracować nad składaniem coraz nowych dowodów, jako żadna nagroda nigdy przewyższyć nie zdoła jego wiernopoddanych uczuć.

Ale i to również wyobrazić sobie łatwo, że bano go się, banol!...

To też dobrze. Bardzo właściwie. Naczelnik okręgu powinien umieć wzbudzać obawę; obawa bowiem jest to właśnie ów lep, który utrzymuje państwo w jednolitej spójni. Idealiści wprowadzie po dziś dzień jeszcze utrzymują idyotycznie, że o wiele silniejszym lepem byłaby *miłość* ludów poddanych; ale któżby się tam takich mazgajów o radę zapytywał?

Taką tedy rzeczy koleją w pałacu Bårdy'ch panią była obecnie Aranka. Salony, vestibule, stajnie i remizy — wszystko przeszło pod jej niepodzielłą władzę. Olśniewała całe miasto niesłychanym zbytkiem i przepychem. Zkąd brała na to pieniądze? O tem rozmaite krążyły pogłoski. Dochoły bowiem z majątku hrabiego Zoltana Bårdy, wyjąwszy część, zastrzeżoną dożywociem jego matce, przechodziły na skarb, obejmowało je *aerarium*. Ha! ale przecież wiadoma to rzecz, że wyższym urzędnikom nie trudno tworzyć złoto.

Za złoto zaś wszystko nabyć można — chyba tylko z marnym wyjątkiem honoru i rzetelnej czci między ludźmi. O ile popularnym w mieście, licznie odwiedzanym był pałac Bårdy'ch poprzednio — o tyle teraz głęboka zalegała go cisza. Żadna z pań z towarzystwa nie przestępowała jego progów, nawet pomimo, że generałowa Lenke ciągle tam jeszcze



mieszkała. Nie dotrzymała groźby usunięcia się w zacisze wiejskie z chwilą, gdy syn wprowadzi pod jej dach synową, której sobie nie życzyła. O! Ważnym musiał być powód, który ją zmusił do pozostania w tym domu po ślubie Szymona. Ale żyła w zupełnem odosobnieniu; nie przyjmowała nikogo, nigdzie sama nie wychodziła, nawet w oknie nikt jej nie widywał nigdy...

Tymczasem jego ekscellencyi, ci, przed którymi nawet on z pokorą czoło uchylał, dali do zrozumienia, iż pożądanam byłoby, aby, nie zadowolając się uznaniem, jakie posiada w sferach rządowych, postarał się wzbudzić także odpowiednie swojemu stanowisku poważanie w kołach towarzyskich. Niechaj wydaje bale, rauty, niech sprasza, częstuje, ugaszcza... Wszakże *jej* ekscelencya, jako *ci devant* artystka, doskonale znać musi wszelkie arkana sztuki urządzania koncertów wesołości, dowcipu, flirtu...

Młodzi baronostwo Lenke porozsyłali zatem zaproszenia do wszystkich wybitniejszych osób w mieście. Miała to być pierwsza próba.

Kto się też stawia na to wezwanie?

Przewidywać naprzód nic nie było można, ponieważ Węgrzy w liczbie innych cnót typowych i tę posiadają, że nie zwykli dawać odpowiedzi na zaproszenia. Zresztą—w tym wypadku—było to może ze strony zaproszonych czemś więcej, niż stosowaniem się do zwyczaju.

Aranka przez całe popołudnie była dziwnie znerwowana. Pokojówki i fryzjerka niejedno znieść od mej musiały. Zostawszy baronową Lenke, zarzuciła swój dawny ekscentryczny ubiór, w jakim chodziła za czasów artystycznej karyery, a stosując się do ogólnie przyjętej mody, zaczęła hołdować sznurówce i krynolinie; i krótkim, czarnym lokom archanielskim, tak zalotnie okalającym megdys jej

głowę, odmówioną została teraz swoboda: upięte szpilkami, zmuszone były układać się posłusznie we fryzurę *à la Eugénie*.

Mąż jeszcze nie powrócił z bióra; w nieobecności gubernatora powierzonom mu było zadanie zastępowania go w czynnościach urzędowych.

Nudne chwile pomiędzy ukończeniem toalety a nadejściem pierwszych gości Aranka starała się skrócić sobie rozmową z Mangą, tudzież słuchaniem wniosków ze stawianej przez nią kabaly.

Stara cyganka bywała teraz w jej domu prawie codziennym gościem. Z jakiej racyi?—tego trudno było dociec. Jego ekscelencya nie znosi jej widoku. Może właśnie dlatego.

Wróżka tłumaczy jasnej pani to, co karty prawią.

— U progów domu stoi wielkie szczęście. Przeszkodę stanowi tylko pani w czarnych szatach. Tajemne życzenie spełni się dziś jeszcze. Gotuje się dla wszystkich wielka niespodzianka.

Arankę jednak trudno dziś było zabawić.

— Zbierz karty, Mango, już nawet i w nie nie wierzę. Przekonałam się, że ilekroć splecione mam myśli i ty sama z nich nic wyczytać nie możesz, to karty twoje również są mało dowcipne. Oto lepiej powiedz mi co. Naprzykład, coś o twoim synu... Ciekawa jestem, czy dziś przyjdzie do nas? Oprócz karty z zaproszeniem osobno i list do niego wysłałam.

— A przyjdzie, przyjdzie, a jakże, nicpotem. Niemało napracować się nad nim musiałam, zanim mi to przyrzekł. Panowie magnaci na wszystkie sposoby odradzali mu, ażeby nie przychodził tu na dzisiejszy wieczór. Pięćset reńskich mu dawali, żeby grał w kasynie, pomimo to, ten maleńki liścik

przemógł wszystkie pokusy: silniej poskutkował od obietnicy pięciuset reńskich i od przyjaźni panów magnatów! Bo też nic dziwnego. Mój syn już tak przywykł do ich towarzystwa, względów, jak nieprzymierzając, kował do iskier. W Rosyi ani pa-trzyć nie raczył niżej, jak na książąt. A do nut obracania używał tylko hrabiów. A cóż dopiero w Anglii! To daleko, gdzieś aż za morzem! I tam także siedział przez trzy miesiące. Królowa tam-tejsza zachwyciła się jego graniem, a jej syn, ksią-żę Walii, zaprosił do siebie na cały tydzień. Wszę-dzie towarzyszyła mu jego banda, którą ztąd z so-bą zabrał i tak pięknie wygrywali, że ci milordowie, którzy w Angli mieszkają, wcale ich puścić z po-wrotem nie chcieli; a wszyscy sobie z Paolem mówią po imieniu. Na uczcie pożegnalnej, jaką dla niego wydali, zebrała się cała rodzina królewska w świą-tecznych, czerwonych strojach i dopiero tak siedzieli za stołem, przeplatając się wzajemnie: królewicz — cygan, królewicz — cygan! I tak się bawili razem. No, a cóż tu mówić o Francyi! Takiej parady, ja-ka tam była, trudno sobie wyobrazić. Wszystko, co Paolo zagrał, cesarzowa kazała po dwa razy po-wtarzać; cesarz zaś własnoręcznie przypiął mu do piersi gwiaździsty order.

— Jakto, więc Paolo i order otrzymał?

— I niejeden. Jak wszystkie pozawiesza, wy-gląda niby jaki jenerał!

— A pieniędzy dużo też zebrał?

— Szaflikami tam mierzono srebro, a kwarta-mi złoto! Ale też i wydatków miał masę. Sypać musiał na wszystkie strony hojnemi napiwkami, cią-gle mieć na zawołanie ekwipaż wynajęty... Przytem banda! Wszędzie, gdzie byli, banda takie wyprawia-ła brewerye, że Paolo wykupywać ją musiał od ko-zy za dług, albo za swawolę. Pomimo to jednak—



nie można się skarżyć; uzbierał i przywiózł coś nie coś. To też kupił sobie zaraz domek z ogródkiem, ma teraz wygodę, spokój i jest panem u siebie w domu.

— A żona jego?

Manga zniżyła głos do poufnego szeptu.

— Hoho! Dwoje mu naraz powiła. Bliźnięta aniołeczki! A takie to czarne, jak niczem kruki. Już nawet ochrzczone: Piotruś i Pawełek.

— Ja i dla niej także posłałam zaproszenie.

— Zapraszając ją, jaśnie pani wcale sobie nie ubliżyła, gdyż pochodzi ona z bardzo znakomitego rodu. Jej dziadek był wojewodą, a ojciec *primasem*. On to tak pięknie wyuczył Paola grać na skrzypkach, jeszcze kiedy był małym pędrakiem. Cytera zresztą otrzymała bardzo przyzwoitą edukację: chodziła do zakonnic, które ją nauczyły czytać, pisać i pończochy robić. Pomimo to wszystko jednakże, wątpię, czy będzie mogła tu przyjść dziś, bo kto ma takie małe dzieci, jest jakby zaprzędany w niewolę. Jaśnie paniusia rozumie to zapewne.

— Wiem o tem, ale swoją drogą nie rozumiem tego wcale—odparła Aranka wzgardliwie, ale tłumiąc głębokie westchnienie.

— Mój Boże! Żeby to jasna paniulka i mnie także pozwoliła posłuchać muzyki Paola! Nigdy go jeszcze nie słyszałam grającego w tak licznej i świetnej towarzystwie, jakie tu dziś będzie! Mogłabym pomagać służbie... roznosić herbatę — ciasta... nie potłukłabym filiżanek. Hoho! Ale jaką śliczną, drogocenną porcelanę mają teraz jaśni państwo! Na każdej sztuce figuruje wymalowany, jak haftem wzorzystym, herb pana hrabiego. Znam go bardzo dobrze: wyobraża białego łabędzia, pływającego po wodzie. A teraz ta cała kosztowna porcelana przeszła na własność pana barona, prawda? I wszystko

srebro? O jej, jej! Jakie szczęście. Prawda, że pan hrabia już nigdy nie powróci? Na całe życie wtrącony został do więzienia? Dziękować Bogu, że nieboraczysko ma takiego dzielnego młodszego brata, któremu nie pożał się Boże było zostawić wszystkie te wielkie bogactwa! Wszak prawda, że i cały ten pałac ogromny należy teraz do jaśnie pana barona? A także i ten majątek ziemski wpośród gór i lasów? No, no! Jakie to szczęście, że wykrył tych spiskowców; oto ma teraz za to nagrodę!

Dla Aranki bardzo nieprzyjemnem było to bawienie nieokrzesanej cyganki.

— Nie nudź mnie już, Mango; głowa mnie boli. Możesz zostać, jeżeli masz ochotę widzieć swojego Paola, grającego w naszym salonie, będzie sz roznosiła herbatę, tylko zachowuj się przyzwoicie i nie zaczepiaj gości rozmową. Przytem męża mojego staraj się unikać, wiesz, że cię nie znosi.

— A gdyby on wiedział, jak bardzo ja go kocham!

Staruszcze kręciły się łyż w oczach.

Jej ekscelencya podeszła do wielkiego stojącego zwierciadła, aby raz jeszcze uczynić szczegółowy przegląd toalety. Manga zaś, zbierając karty, mruzczała sobie pod nosem coś, czego lepiej, że pani nie słyszała.

— Ładne mi rzeczy powiedziałaś, kabalko! Ot, byłoby czego posłuchać, gdyby opowiedzieć wypadło. Baronowa zakochana w skrzypku, a baron w młodej cyganczce. Całe szczęście tylko, że skrzypek i cyganczka tak się ogieńcie kochają wzajemnie, iż żadne z nich o nikim innym słuchać nie chce; inaczej bowiem oczy „Devli” gotowe byłyby wplątać się w tę sprawę—i...

Machnęła ręką i w niskich ukłonach cofnęła się ku drzwiom, po drodze gorąco oświadczając ja-

śnie wielmożnej pani, iż chętnie leżałaby całe życie u jej drobnych nóżek.

Zaledwie ucichł w salonie głos cyganki, gdy bocznymi drzwiami weszła starsza baronowa-wdowa. Była w grubej żałobie, tak, jak sierota, której wymarli wszyscy ukochani. Słodkim głosem zagadnęła Aranę:

— Kochana córko...

— *Plait-il maman?*

— Czy nie zechcesz mnie uwolnić z tego tak ciężkiego dla mnie obowiązku, abym brała dziś udział w waszym wieczorze?

— *Impossible.* Zechciej mama zrozumieć, że gdy naczelnik okręgu po raz pierwszy dla gości otwiera swoje salony, to matka tegoż naczelnika okręgu, baronowa von Lenke, musi być na tychże salonach widzialną. Prosta przyzwoitość tego wymaga.

Z piersi baronowej Anny wydarło się głębokie westchnienie.

— Bo tak się też właśnie jeszcze złożyło, że dziś są urodziny mojego nieszczęśliwego syna. Nie mogę serca i myśli oderwać od niego; więc nie wiem, czy będę umiała wymódl na sobie, aby wobec ludzi mieć twarz wesołą i uśmiechniętą mile...

— O Zoltanie Bårdy mam dobrą nowinę do udzielenia mamie. Pośrednictwo moje odniosło pożądaną skutek: pozwolono mu już czytać i pisać w więzieniu.

— Tak, to będzie dla niego wielką ulgą w samotności. Dziękuję ci, że chciałaś się wstawić za nim. Ale... to, o co cię tak usilnie prosiłam?...

— Cóż to takiego? Nie pamiętam.

Ale baronowa Anna nie mogła się zdobyć na wypowiedzenie tego wyrazu.

— Wiesz zapewne... To, o co tak błagałam,



aby mu oszczędzono w niewoli. Oh nie, nie mogę wymówić... przez usta mi to przejść nie chce. Serce mi pęka, gdy o tem pomyśle!

— Ah, domyślam się! O „kajdany” mamie chodzi, ażeby mu zdjęto? To już nie zależy od sił miejscowych, do których ja moje prośby wnoszę. Trzebaby chyba podać petycję do najwyższego forum, aby raczyło zmienić wyrok, skazujący więźnia do ciężkich robót, na loch, z którego nie wychodziłby wcale. To wymaga dłuższej procedury. W całej tej kwestyi zresztą możesz mama być zupełnie spokojną. Mój mąż się nią zajmuje, a chyba nie trudno pojąć, że musi go obchodzić ulżenie losu starszemu bratu. Tylko trzeba cierpliwości. Takich rzeczy zhytecznie forsować nie można; nie dają się nagle załatwiać. Należy ostrożnie i umiejętnie upatrzyć odpowiednią chwilę, jakąś okoliczność pomyślną — a to potrafią tylko wtajemniczeni. Już niech się mama nie troszczy. Postaram się pamiętać o tem, o co mama prosiła. Nawet dziś jeszcze! jeżeli mój mąż powróci przed nadejściem gości, pomówię z nim o tem.

Jak na zawołanie drzwi otworzyły się z hałasem i mąż stanął w progu.

Był już w pełnym uniformie rautowym: w czarnym fraku, białym krawacie i jeszcze bielszym, na kamień wysztywnionym kołnierzyku. Z ubraniem tem pięknie licował kapelusz na jego głowie.

Może ceniąc to, że mu w nim było do twarzy, nie zdjął go, nawet wszedłszy do pokoju, i nie pozdrowił—wbrew przyjętym w świecie obyczajom, ani żony, ani matki. Dopiero gdy Aranka pierwsza, z wcale nie dwuznacznie ironicznym naciskiem, powitała go życzeniem dobrego wieczoru, za całą odpowiedź gwałtownym ruchem rzucił kapelusz na stół, tym razem bez najmniejszego względu na jego

całość. Był czegoś mocno, niezadowolony, świadczyły o tem usta posiniałe.

— Nowy paszkwil wymierzono na mnie dzisiaj. I w żaden sposób nie mogę dociec, z kąd one się biorą, a nadewszystko, która drukarnia podejmuje się je wytłaczać! Gdziekolwiek kapelusze położę, napowrót biorąc go do ręki, już z góry mogę być pewny, że znajdę w nim anonim. Ilekroć sięgnę ręką do kieszeni paltota — i ztamtąd wydobywam bezimienne świstki. Wychodząc z biura — dostrzegam je na drzwiach ponalepiane. A to, słowo daję, człowiek jest osaczony, jak niedźwiedź przez psiarnię! Ha, gdybym mógł capnąć którego z tych szczekaczy, rozszarpałbym go na ćwierci!

Ponieważ w danej chwili żaden ze „szczekaczy” nie był tak uprzejmym, aby się nawinąć jego ekscelencyi pod rękę, więc ekscelencya tymczasem rozszarpał sam paszkwil.

— Panie! — rzekła Aranka.

— Cóż takiego?

— Nie czyń pan nieporządku w salonie.

Szymon uznał słuszość tej uwagi; schylił się, pięknie pozbierał rozrzucone kawałki i rzucił je do pieca.

— I nic więcej?

— Hrabina ma do pana prośbę, jako do naczelnika komitatu.

— Ach, wiem już, wiem, zawsze jedna śpiewka na tę samą nutę, o Zoltana Bårdy. Możesz hrabina być spokojną. Twój syn jest w dobrym miejscu, Ma co jeść, ma się w co ubrać... Dano mu osobną celkę, codzień chodzi na spacer użyć powietrza, dla rozrywki ma laubzega, słowem, jest zaopatrzony we wszystkie potrzeby. Zresztą przecież dopiero dzie sięć miesięcy, jak go wzięto.

Baronowa Anna przemocą tłumiała łzy.

— Mnie się ten czas już tak długim wydaje, jak gdyby wieki upłynęły, odkąd go nie widzę!

— Nie szczędę starań dla niego. Wszystko robię, co w danym wypadku zrobić można. Ale i hrabina niechże też raczy ze swojej strony coś dla syna swojego uczynić; nie wymagam wprawdzie niczego pozytywnego, żadnego czynu trudnego, lub ryzykownego, ale postępowaniem swoim nie psuj mu sprawy.

— Ja?... Psuję mu sprawę?! Czem, na miłość Boską?

— Czem? Tym oto ubiorem. Manifestujesz hrabiną swoją żalobę, podkreślając tem samem, iż nie masz nadziei, ażeby śledztwo wykazało niewinność hrabiego Bąrdy. Wielką wyrządziłabyś mi grzeczność, hrabino, gdybyś zechciała nie pokazywać się wcale gościom naszym dzisiaj wieczora.

— Chętnie zastosuję się do twojego życzenia, mój synu.

Baronowa Anna, rada w duszy temu żądaniu Szymona, już podniosła się w fotelu, aby pokój opuścić, gdy gestem i słowem zatrzymała ją Aranka.

— Proszę cię, *chère maman*, zechciej pozostać. Mojem życzeniem jest przeciwnie, ażebyś była obecną w naszych salonach na dzisiejszej recepcyi. Goście nasi powinni cię u nas widzieć.

Szymona jeszcze gorzej to rozdrażniło.

— Chyba na to, ażeby jak chodzący nagrobek, straszyla obecnych, którzyby się zabawić i rozerwać pragnęli! Żywa klepsydra w czarnych ramach!

Aranka jednakże nie chciała ustąpić.

— Obecność hrabiny na naszym raucie jest dla nas kwestyą opinii, wyrobi nam „markę” towarzyską w świecie.

Szymon wzruszył ramionami. Nie posiadał on



w sercu ani odrobiny delikatności dla istoty, która od dzieciństwa najlepszą matką dla niego była. Po tem właśnie odrazu poznać można w człowieku niską, pospolitą duszę.

— Nie zmydlić światu oczów! Każdy i tak aż nadto jest przekonany, że hrabina, jeżeli dotychczas u nas mieszka, to bynajmniej nie czyni tego z czułości dla nas, ale dlatego, aby jękami, desperacją i żałobą wszystkim bezustanku przydeptywać pięty w sprawie Bårdy'ego.

Aranka obruszyła się na to. Być może, że mąż w uniesieniu i ją także uraził.

— Proszę, nie psuj mi pan humoru! Gotowa mnie głowa rozboleć!

Baronowa Anna słuchała tej rozmowy, wtulona w kącik, pokorna—ona niegdyś taka majestatyczna, pewna siebie, dumna! Niestety ją tak złamało. Ze złożonemi rękoma prosić zaczęła syna i synową:

— Kochane dzieci, nie sprzeczajcie się! Przykro mi niezmiernie, że przezemnie poróżniliście się z sobą. Więc skoro synowa moja życzy sobie, żebym dziś była na zebraniu u niej, ponieważ zaś syna razi moje żałobne ubranie, zatem odemnie zależy pogodzić jedno z drugim: odejdę do siebie, a za chwilę wrócę w innej tualecie, która nikogo ze zgromadzonych osób nie będzie raziła.

— Będzie to ze strony hrabiny postępek bardzo rozsądny—rzekł Szymon tonem urzędowym.

Baronowa Anna odeszła do swoich pokojów.

Zostawszy sam na sam z żoną, Szymon zwrócił się do niej z twarzą surową i spojrzeniem morderczem, jak sędzia, gdy patrzy na podsądnego, któremu dowiedziono wielkiego występkę.

— Pani! Usłużni donieśli mi, że wczoraj sama jedna spacerowałaś po alejach i wręczyłaś małej

jakiejs eygance tajemniczy bilecik. Proszę mi się z tego wytłómaczyć!

Aranka roześmiała się sarkastycznie.

— Ah? Pan jesteś zazdrosny? Warto zanotować!... Ale doprawdy—w jakim celu? Do czego to panu potrzebne?

— Nie śmiej się pani! Mam oczy czujne, jak Argus, a uszy jak Dionizyos. Nic się przedemną nie ukryje! Pani snujesz jakąś intrygę.

— Co za domyślność. Gotów pan jesteś może posądzić, że to ja ci nasyłam do kapelusza i do kieszeni te paszkwile, które cię tak irytują!

— I ręczę, że nie myliłbym się za bardzo.

Aranka pociągnęła męża za rękaw, szepcząc mu do ucha:

— Goście już idą. Przypnij pan sobie swój order.

Szymon, odkładając *ad acta* dalszy ciąg sceny małżeńskiej, wyjął z bocznej kieszeni miniaturowy order na złotym łańcuszku i przyczepił go do klapy fraka.

Istotnie, przybyły już pierwsze z zaproszonych osób. Lokaj, naśladując zwyczaj, panujący w jaśnie wielmożnych domach, szeroko drzwi otworzył, oznajmiając:

— Jego ekscelencya Ottokar Lebegut, naczelnik komitatowy, z żoną!

Pan Lebegut wprowadził do salonu pod rękę małżonkę swoją, panią Fruzinę. Była to niebrydka kobietka, o małej, rumianej twarzyczce, cokolwiek piegowatej; na głowie miała ubranko wysokie, trochę nawet za wysokie, a krynolinę niebywalej średnicy u dołu.

— Jesteśmy pierwsi! Zawsze bywamy pierwsi! — zaznaczył, witając się pan Lebegut.—To mój

zwyczaj, dawny zwyczaj. Zresztą, zawsze ktoś musi być pierwszym.

Przedstawił Arance swoją żonę.

— Moja żona jest niema, zupełnie niema. Pomimo to mówi, o, bezustannie mówi!

Obie panie zatem natychmiast zajęły się rozmową na migi.

Pani Fruzina poinformowała Arankę, że ją dziś wprawdzie ząb silnie bolał, lecz wolą dać go wyrwać, niż opuścić dzisiejszy raut, na który się już oddawna cieszyła, ponieważ ogromnie lubi *widzieć* muzykę, pomimo, że nie słyszy jej wcale. To jednakże nie przeszkadza jej tańczyć, oh! przepada za tańcem. Wszystko jednakowo lubi, walca, hopsa, galopkę...

Aranka odpowiedziała jej także na migi—(znany jej był już oddawna ten sposób porozumiewania się z głuchoniemymi)—że tu dziś tańców nie będzie, ci mężczyźni to są takie nudne, nieznośne stworzenia, umieją tylko pić i grać w karty, do niczego więcej niezdolni.

Pan Lebegut, spoglądając na panie, rzekł zadowolony do Szymona:

— A co, jak się nasze żoneczki wybornie rozumieją!

— Prawda, nie potrzebują nawet po dwa razy słów powtarzać! — odrzekł Szymon z protekcyjonalną uprzejmością.

Ho, ho, minęły czasy, kiedy Szymon dla przypodobania się panu Lebegutowi sam gotów był dublować swoje wyrazy. Teraz on jest zwierzchnikiem, a Lebegut podwładnym.

Kamerdyner oznajmił przybycie nowych gości.

— Wielmożny pan Marcin Mikulaj, sędzia cyrkulowy, z żoną!

Na salę wtargnęła bardzo przyzwoicie wyglą-



dająca para, tylko, że pan miał na sobie frak o cokolwiek przykrótkim stanie, kamizelkę zaś przywdział troszeczkę przydługą. Pani szeleściła jedwabiami koloru szkarłatnego.

Pani Fruzina na migi wytłómaczyła Arance, że ten pan oto, który teraz wchodzi, jest do tego, aby złoczyńców chwycił, wiązał, wybadywał, sądził i do więzienia pakował.

Znów otworzyły się drzwi na oścież i zabrzmiał tytuł nowych gości:

— Kummer, Sorge i Współka, liwerant wojskowy, z żoną!

I weszła szykowna, pikantna osóbką, w towarzystwie młodego, starannie ogolonego, wyperfumowanego, wymuskanego mężczyzny. Kim właściwie jest ten ostatni: Kummer'em, Sorge'm, czy też Współką, trudno się było domyśleć. Wystarczyło, że był na tę chwilę przedstawicielem tego troistego konsorcjum i miał prawo reprezentować je *per procura*.

Niebawem nowi przybysze oderwali od nich ogólną uwagę.

— Jaśnie wielmożny rejent Kalácsi, i kancelista jego, hrabia Ingoványi!

Ponieważ żaden z nich nie miał żony, a mieszkali wspólnie, więc i przyszlizli razem, na ten raz jeden drugiemu zastępując żonę.

Pan rejent Kalácsi był sobie jednym z tych ludzi, jakich świat, rzekłbyś, tuzinami na jedną modłę, według jednego szablonu hurtownie stwarza i tu i owdzie, bez liczby, obficie rozsiewa. Takiego pana poznawszy o trzy kwadransy na dziewiątą — o kwadrans na dziesiątą, żeby cię kto zabił, już nie wiesz, jak wygląda. Zato hrabia Ingováni był panem co się zowie: nie brakowało mu w toalecie żadnego szczegółu, podnoszącego mężkie jego wdzięki — oczywiście licząc w to i monokl.

Pani Fruzina, ujrawszy ostatnio przedstawionego osobnika, uczyniła jakiś, nad wszelki wyraz osobliwy gest: obie ręce, na zewnątrz odwrócone dłońmi, uniosła i z palcami sterczącymi do góry, przytknęła sobie do czoła.

Aranka zdziwiona musiała się tym razem odwołać do pośrednictwa pana Lebeguta.

— Nie mogę zrozumieć tej pantominy.

Więc pan Lebegut pośpieszył z komentarzem.

— Żona moja chce przez to powiedzieć, że ten pan to hrabia, który ma nad herbem koronę o dziewięciu pałkach.

— Ah, tak!

I znów drzwi otworzono — weszli nowi goście.

— Jaśnie wielmożny Jonathan Kikutat, poborca podatków, z żoną!

Tych niema co opisywać.

Pani Fruzina pokazała Arance, że jest to taki pan, który ludziom rękawiczki z rąk i trzewiki z nóg ściąga.

Teraz dopiero weszły osoby godne uwagi.

— Jaśnie wielmożny pan Balambér Vaskobaki Kapotnyaki, prezes komisji kadastru, z żoną.

Pana Balambéra znamy, żonę miał ze wszechmiar godną siebie, egzemplarz także utuczony na nieszczęściach ogólnych.

Pan Balambér i tu przyszedł w stroju galowym narodowym: w mencie, zarzuconej z fantazją, na bakier i butach ze srebrnymi ostrogami. Żona jego miała na sobie suknię, ozdobioną typowo-węgierskimi haftami, z jakich szeroko na świat słynie z innych względów nic nie znacząca miejscowość Kalotaszeg.

W wyglądzie wielkiego patrioty zaszły jedna-

kowoż dwie wielkie, rzucające się w oczy zmiany: wspaniała niegdyś broda, dawniej tak pompatycznie piersi mu zdobiąca — zniknęła gdzieś — nie było jej teraz ani śladu, głowa jego zaś, ozdobiona zazwyczaj gęstemi kędziorami, symetrycznością swoją przypominającemi perukę, dziś, kolorem swoim przywodziła na myśl nadmarzniętą, lekko szronem ściętą powierzchnię żółtawo-różowawej dyni. Inaczej mówiąc, nie miał pan Balambér ani na głowie, ani na brodzie ani jednego włoska.

Sam baron Szymon nie mógł się powstrzymać od śmiechu na jego widok.

— I cóżeś z siebie zrobił, miły panie bracie! Przecież, jeżeli uczyniłem ci jaką uwagę, tycząca się twego zarostu, to miałem na myśli jedynie brodę, którą radziłem ci ogolić, lecz nigdy mi w głowie nie powstało żądać od ciebie, ażebyś się cały ogolował z włosów, jak kula bilardowa!

Ale pan Balamber nigdy nie tracił rezonu.

— Za pozwoleniem, ekscelencyo, to jest mój stały obyczaj. Do pierwszego maja włącznie noszę perukę, potem zdejmuję ją i nie wkładam aż pierwszego października. Ponieważ zaś raczyłeś mnie pan poufnie uprzedzić, żebym ogolił brodę, gdyż nie licowałaby z powagą mojego obecnego stanowiska, jako prezesa komisji kadastralnej, zatem pora letnia w połączeniu z moją nową godnością wpłynęły na to, że jestem oto zupełnie *frej!*

— Przynajmniej wasy mogłeś pan zostawić — odparł kwaśno Szymon. — Pańska karykatura gotowa poddać temat do nowego paszkwilu na mnie!

— Zaraz od jutra z całym zapalem zaczynam hodować wasy, ekscelencyo!

Szymon usiłował uśmiechać się uprzejmie, lecz trudno mu to było, gdy zęby mimowolnie zgrzy-



tały. Irytacyi swojej coraz dawał upust w szeptach z żoną.

— Świetne towarzystwo zebrало się u nas, nie ma co mówić! Rozesłaliśmy setkę zaproszeń i naraż powiało nad miastem coś nakształt zarazy, wszyscy się pochorowali, jak na komendę, a większość nawet nie raczyła usprawiedliwić swojej nieobecności listowną odpowiedzią. Zebrali się tylko moi podwładni, albo też ci, którym moja protekcyja potrzebna. Nie widać nawet tego gryzipiórka, którego gazeta tylko dzięki mnie istnieje! A najgłówniejsza osoba, czyli punkt atrakcyjny naszego rautu, ów muzykus, cygan, jak długo czekać na siebie każe! No, nigdy nie byłbym uwierzył, że kiedyś Paolo Barkò będzie na moich salonach białym słoniem, stanowiącym jedyną przynętę dla moich gości, i *in gratiam* którego ja sam będę sobie przypinał do fraka swoje ordery!

Pan Ollòsi jednakże nie skrewił. Dziennikarz. Tego kamerdyner nie meldował wcale. Inteligentny i pojmujący swoje powołanie reporter zawsze potrafi sobie wynaleźć boczne jakie wejście, którem wślizga się do salonu, przez nikogo niepostrzeżony. Dotarł do samego ekscelencyi, szepcząc z namaszczeniem:

— Już idzie!

— Kto idzie?

— On!

— „On!” Cóż to za „on?”

— A któżby inny nim był, jeżeli nie sławny na cały świat artysta. Ot—persona!

— A pan leciałeś przed nim, jak laufer?

W tej chwili kamerdyner szeroko podwoje otworzył, oznajmiając podniesionym głosem:

— Pan Paolo Barkò, artysta-muzyk!

Gorąco oczekiwany gość przestąpił próg salo-

nu, za nim lokaj, w liberyi wniósł skrzynkę ze skrzypcami.

Widok dawno niewidzianego artysty zaimponował wszystkim: we fraku, w kamizelce z żabotami, odsłaniającej bogato zahaftowany plastron od koszuli, w obcisłych, trykotowych spodniach, trzewiakach z klamrami, z szapoklakiem w rękę i mnóstwem na srebrnych łańcuszkach pozawieszanych u klapy orderów w miniaturze, wyglądał, jak co najmniej jaki książę.

Przystąpiwszy do pana domu, skłonił się przed nim.

— Stawiam się na łaskawe zaproszenie.

Jego ekscelencya raczył skinąć głową.

— Witam pana!

Lecz ręce przypadkiem zajęte miał w tej chwili; jedną ukrywał pod połą fraka, drugą zaś za kamizelkę zatknął i to mu przeszkodziło podać pracy gościowi.

Paolo następnie Arance złożył ukłon głęboki. Ta okazała się liberalniejszą od męża w tym wypadku, gdyż podała mu uprzejmie — mały paluszek swojej drobnej rączki, obciągniętej jasną rękawiczką.

Potem odbyła się ceremonia wzajemnego przedstawienia sobie artysty i poprzednio zebranych gości. I tem również zajęła się czynnie Aranka.

Szymon tymczasem uskarżał się na stronie do pana Lebeguta:

— Czy to słychane rzeczy! Do czego dojdzie na tym świecie, doprawdy nie rozumiem, kiedy już na to przyszło, że takiemu oto cyganowie trzeba mówić „panie!”

— Prawda! Prawda. Nigdy jeszcze nie widziałem cygana we fraku. Ile on orderów posiada!

Szymon wydał usta wzgardliwie.

— Takie tam ordery! Śmieci, jakich zagraniczni monarchowie kopami mają pod ręką dla rozdawania służbie, albo—ot, artystom!

Ale nie łatwo było ukoić rozgoryczenie pana Lebeguta; zebrał dokoła siebie swoich towarzyszków broni, sędziego cyrkulowego, prezesa komisji kadstralnej, liweranta, poborcę podatków i kilku innych i zaczął przed nimi rozwódzić swoje żale:

— Niema sprawiedliwości na świecie! Podczas gdy my w pocie czoła pracujemy i nagrody doczekać się nie możemy, taki oto skrzypiciel, Boże, zmiłuj się! opływa we wszystko. Ile to stemplów człowiek przyłożyć musi, ile podpisów wykaligrafować, ile gruntów wybadać i ocenić, ile poodkrywać nieporządków, ilu złodziei więzieniom dostarczyć, ilu rekrutów pospędzać, zanim się dosłuży bylejakiego orderku! A ten muzykant, proszę patrzeć, dlatego, że na chybił trafił smyczkiem ładnie wywija, to go już obsypują honorowemi oznakami, jak pierzem!

— To prawda, jak gdyby grać było wielką sztuką. A przecież i mybyśmy może tak samo potrafili, nieprawdaż, panie bracie? — zapytał z zagadkowym uśmiechem pan Mikulaj, sędzia cyrkulowy.

Żarcik ten wywołał na usta pana Lebeguta jowialne oburzenie. Pogroził palcem i brwi namarszczył.

— Cyt! Cicho! O tem ani słowa. Skończyły się piękne dni Aranjuezu!

Złośliwe języki ludzkie — gdzież ich niema — głosiły o panu Lebegucie, że niegdyś służył społeczeństwu grą na kobzie. Ale to potwarz! Nie na kobzie, lecz na klarynecie. I zresztą, to było już tak dawno. Przytem wiadomo, że w domu wisielca



nie wypada mówić o stryczku; tak też i tu nie należy nikomu wapominać artystycznej przeszłości, bo przecież jej ekscelencya, pani domu, także była artystką, zanim zamaż wyszła.

— I do tego wszystkiego—chłystek! nawet nie czuje się skrepowanym między nami, swobodny jest, jak we własnym domu!—oburzał się Szymon do pana Lebeguta.

— Chłystek? Który?...—naiwnie zapytał, szeroko otworzywszy oczy pan Lebegut, oczywiście nie mogąc się domyśleć, o którym z pośród wielu zebranych w tym salonie „chłystków” raczy mówić w obecnej chwili jego ekscelencya.

— W moich oczach każdy poeta, muzyk, aktor, czyli, jednym słowem, artysta, jest chłystkiem. O każdym z nich śmiało powiedzieć to można z góry, bez sądu, bez przesłuchania.

— Trafna maksyma. Ten tylko posiada przynajmniej tę jedyną okoliczność łagodzącą, że ma śliczną żonę.

— Tak jest, cóż kiedy ją właśnie, osioł, pozostawił w domu!

Oto był najgłówniejszy grzech artysty u jego ekscelencyi.

Pan Lebegut, chociaż taki prostoduszny, zmiarkował jednakże, iż nie wypada odpowiedzieć na to: „Jaśnie wielmożna pani zdaje się być zadowoloną i z samego muzyka...” Lecz oczy jego, biegające bez przerwy od Aranki do Paola, zdradzały, że spostrzega to wybornie.

Szymon nie wytrzymał, żeby nie zainterpelować Paola o żonę:

— Dlaczegoż pan nie przyprowadził z sobą swej ślicznej żoneczki?

— Dziękuję waszej ekscelencyi za pamięć o niej. Przeprasza, przyjść nie mogła, gdyż zajęta jest dziećmi.

— Za granicą — wiem, że bywała w towarzystwach. Nieraz w dziennikach zdarzało nam się czytać zachwyty nad jej *indian beauty*. I u nas miałyby z pewnością nie mniejsze powodzenie.

— Pozwalam sobie wątpić o tem, ekscelencyo! Za granicą, w miastach stołecznych, ogół przyzwyczajony jest widywać cudzoziemskie typy, tu zaś odbijają one cudacko na tle naszego otoczenia. Przysięgam, że żona moja jest jak gdyby niema, ponieważ żadnym obcym językiem nie mówi, tu wyciąganoby ją na słowa i pewno wyśmiewanoby jej naiwną szczerłość.

— No, no, w tym cyganie tkwi zaklęta dusza dyplomaty! — pomyślał w duchu jego ekscelencya.

Artysta na pierwszą prośbę pani domu, bez żadnych wymawiań się, min i grymasów, wyjął ze szkatułki skrzypce i odegrał jeden z najtrudniejszych utworów Beethovena.

Interpretację jego przyjęto hucznymi oklaskami.

Z wyjątkiem pana Balambéra, wszyscy zebrani byli gruntownymi znawcami muzyki, ogólny przeto zachwyt, z jakim wyrażano opinię o jego grze, miał swoją wartość.

— Osobliwie *piano* było bez zarzutu! — zapewniał pan Lebegut, strojąc się w powagę największego znawcy.

Do najbardziej zachwyconych należała także pani Fruzina. Nieboraczka słuchała muzyki tylko oczyma, mimo to twarz jej zdradzała szczere zadowolenie i przejęcie.

Po pierwszej sztuce odegrał Paolo i drugą; coś z Szuberta.

Gdy ucichły brawa, damska część towarzystwa zagarnęła Paola dla siebie w monopol.

Z Aranki, gdy mówiła do Paola, zdawało się, iż elektryczność tryska.

— Sława uczyniła z pana iście mityczną postać. Słyszałam, że pańskie *tourné* artystyczne było jednym ciągiem tryumfów. Dlaczego odmawiasz pan tutejszym melomanom rozkoszy upojenia się twoją muzyką? Czemu tu nie chcesz wystąpić z publicznym koncertem?

— Dla bardzo prostego powodu, Ekscelencyo. Ponieważ to właśnie, co za granicą największe czyni wrażenie, jest u nas rzeczą zbyt powszednią. W wielkich stolicach europejskich słyszałem setki o wiele lepszych skrzypków od siebie. Gdzie taki Ola Bul, Vieuxtemps zapisali się w pamięci lubowników muzyki, tam ja mógłbym uchodzić chyba za partacza. To, co mi zjednywało przychyłność publiki zagranicznej, było właśnie tem tylko, co we mnie jest cygańskiego. Beethovena i Paganini'ego niejednen lepiej interpretuje odemnie; dopiero gdy przyszła kolej na nasze węgierskie piosenki, gdy zapomniawszy o świecie całym, o tem, że jestem artystą, smyczkowi mojemu puściłem wodze bez krępowania go zasadami szkół wyższych, tak, jak sam, z Bożego daru władać nim umiem, gdy zapomniawszy o tem, że stojąc na estradzie, mam przed sobą strojny tłum znawców, smakoszków mojej sztuki, oczyma duszy zagłębiłem się w odległe wspomnienia ojczystych stepów i lasów, gdy zapomniawszy o uczonym akompaniamencie, towarzyszącym moim skrzypcom i o szeptach zachwytów, krążących na sali, uchem wyobraźni łowić zacząłem szmer górskich naszych potoków, krzyk kaczki dzikiej, posępny świst wichru, hulającego nocą wśród trzciny i sitowia, wówczas dopiero stawałem się sam sobą. Dopiero tem umiałem czarować cudzoziemskich znawców.

— Tutaj, u nas, wszystko to są zbyt zna-



ne rzeczy! — od niechcenia dorzucił artysta na końcu.

— Albo raczej — powiedzmy otwarcie, że tutaj, u nas, są to *zakazane* rzeczy — odparła na to Aranka.

Słowa te były tak śmiałe, tak znaczące, że reporter, uradowany pochwyceniem czegoś równie niezwykajnego, aż zapisał je sobie w notesie.

Wśród gości znajdowali się obecnie nie sami tylko urzędnicy: stopniowo bowiem poprzychodziło wiele innych, zaproszonych osób, z polityką nie mających wspólnego: niezależni mieszczenie, kilku wojskowych, którzy pomiędzy sobą nieraz krytykowali postępowanie Jego Ekscelencyi. Głównie za to go szykanowano, że był bardzo drobiazgowy. Uważali, że to niema żadnego sensu wtrącać się do prywatnego życia ludzi, do ich zwyczajów, sposobu ubierania się, do tego, co śpiewają, grają, czem się bawią...

Zdanie, tak swobodnie wygłoszone teraz przez Aranę, było niby rzuceniem doraźnego sądu na tę małostkową tyranizację.

Nikt jednakowoż nie śmiał zdradzić swego zadowolenia ze słów jej Ekscelencyi, ponieważ... lichowie? a może ona jest tylko *agent provocateur*?

Sam tylko artysta złapał się na nie.

Artyści byli, są i pozostaną zawsze dziećmi, w kwestyach, gdzie rozstrzygać może tylko baczny zmysł rozsądku; dzieci zaś prawdomównością kompromitują siebie i innych.

— Wasza Ekscelencya zatem najlepiej to rozumie, dlaczego tu, u nas, nie zamierzam wystąpić z koncertem. Jesteśmy tu wszyscy tak, jak niegdyś Żydzi, wzięci do Babilonu: „dźwięczne skrzypki nasze zawieszamy na wierzbie.”

— Niebawem już inne czasy nastaną — rzekła

Aranka tak głośno, że słyszeć ją mogli wszyscy zebrani w salonie.

Zabrzmiało to nakształt wyroczeni.

Na wschodzie toczyła się krwawa wojna, w której żywy udział przyjmowało kilka narodów. Najświeższe wypadki silnie zagrażały Austrii—Węgrzy mieli wszelkie powody oczekiwać pomyślnej dla siebie zmiany wewnętrznych stosunków.

Ale, rzecz prosta, muzyk, wyłącznie zajęty swoją sztuką, dalekim był od wszelkich politycznych kombinacyj.

Aranka zapytała, czy nie zechciałby odegrać teraz której z tych typowo-węgierskich piosenek, jakimi tak zachwycił słuchaczów za granicą?

— Wątpię, czy umiałbym wpaść w taki nastrój, jaki mnie tam ogarniał — odparł Paolo, odrzucając włosy z czoła. — Natchnienie przychodzi nie na zawołanie, a to, co je wywołuje, nie da się ani nazwać, ani określić. Tylko z serca pieśń płynąca sięga do głębi serc — nawet wrogów; nawet ci, którzy z orężem w dłoni przeciwko sobie występowali, braćmi poczuć się mogą pod czarodziejskim jej wpływem. Dopóki dawano mi brawo za rzeczy klasyczne, sam pozostawałem chłodny, i oklaski były chłodne—oh, artysta sam najlepiej nerwami odczuć to potrafi. Dopiero gdy z pod mego smyczka płynąć zaczynały zakłęte w tony odwieczne skargi i żale sierociego plemienia naszego, wówczas oklaski i brawa milkły, nastawała cisza uroczysta, i coraz ciaśniejsem kołem otaczali mnie słuchacze, w niejednym oku błyszczały łzy szczere, a w sercach dziwy stwarzała muzyka; zapominało się o wszystkim, co złe, przykre, zawistne...

I teraz także całe towarzystwo zgrupowało się dokoła artysty.

Istotnie, nie było to pospolitem widowiskiem, Cygan, występujący w roli krasomówcy.

Cyganie wogóle nie bywają mowni, a jednak tym razem Paolo ożywił się, mówił płynnie, z wielkim zapalem, i z głębokiem rozmarzeniem w oczach. Opuściła go zupełnie jego zwyczajna, ociężała cokolwiek obojętność cygańska; poprzez klasyczne rysy Chrystusowej jego twarzy przebijała dusza. Wyrazom ust towarzyszył odpowiedni wyraz jego twarzy. Aranka widziała go w tej chwili takim, jakim widzieć go już kiedyś pragnęła: rozpalonym, do głębi przejętym trawiając go namiętnością. Cemuż nie był takim wówczas, gdy go tak błagała, ażeby jej pozwolił być towarzyszącą mu, jak słońcu, planetą?

Paolo nie spostrzegł, że i panowie słuchają go ciekawie. Osobliwie Szymon zaszczycał słowa jego szczególniejszą uwagą. A on wciąż prawił dalej. Szaleniec! Zamiast smyczkiem wywijać, do czego przecież zaproszonym został, wołał deklamować, o co go nikt nie prosił, i czego, co ważniejsza—w dobrze urządzonem społeczeństwie—dopuszczać się niewolno. Jeszcze cyganowi! To nawet nie wypada, żeby cygan w takim arystokratycznym towarzystwie głośno wypowiadał swoje przekonania; nie! jest to coś tak śmiesznego i niewłaściwego, że nigdy nie mielibyśmy odwagi doradzać podobnej sceny żadnemu, najryzykowniejszemu komedyopisarzowi, gdyż wygwizdanoby za to jednomyślnie i autora, i aktora, skazanego w tej sztuce na rolę cygana.

Tu jednakowoż nie miało to miejsca.

Zachęcony szmerem uznania muzyk mówił dalej:

— Ja zaś, zasłuchany we własną muzykę, nie widziałem przed sobą ani strojnych dam w brylantowych dyademach, ani magnatów w orderach i świetnych mundurach, lecz grałem tak, jakbym grał w przydrożnej csárdzie betyárowi, nucącemu do ponurej mojej melodyi jeszcze posępniejsze słowa.



Pieśń po pieśni następowała bez przerwy, skrzypce zdawały się wylewać srebrzyste strumienie łez, a i słuchacze miewali łzy w oczach. W chwilach takich—nie moją to było zasługą, lecz tych rozmarzających ballad, preludyów i rycerskich rapsodów—dygnitarze nazywali mnie bratem, a piękne, jak senne zjawiska, panie, rzucały mi się na szyję i twarz moją obsypywały pocałunkami. Całusy te dostawałem nie dla siebie samego, ale dla mojej muzyki.

Słuchacze jednomyślnem brawem przyjęli słowa cygana.

Naraz stało się coś niesłychanego: pani domu, *Jej Ekscelencya*, uniesiona ogniem zapału, przystąpiwszy do artysty, oburącz ujęła go za głowę, i obdarzyła go długim, płomiennym pocałunkiem w same usta.

Mężczyźni, zachwyceni, przyklasnęli jej od serca.

Ośmielone tą zachętą, poszły za przykładem pani domu i inne damy: każda po kolei zaszczycała artystę pocałunkiem, nawet pani Fruzina nie chciała stanowić wyjątku.

— To już jest więcej, niż za wiele! — irytował się na stronie Szymon, zgorszony do żywego.

— I moja żona go pocałowała, i moja żona go pocałowała!—mitygował go pan Lebegut.—Egzaltacya wielka!... ..tacya wielka!

— Już ja sobie wypraszam z programu takie egzaltacye!

Podszedł do Aranki, ze złością odtrącając na bok kamerdynera, który przez to o mało nie upuścił tacy ze szklankami i dzbanem limonady, tudzież berberysem.

— Pani! to, co uczyniłaś, było z twojej strony wielkiem zapomnieniem o formach światowych, wymaganych w salonie!—z gwałtownemi ruchy szepnął Szymon do ucha Arance.

— Co takiego?

— Jak mogłaś pocałować cygana?

— Był to tylko pocałunek muzy, ofiarowany artyście.

— Do czego to podobne! Wobec całego zebrania!

— To właśnie nadawało mu ton uroczysty.

— Uroczysty, czy nie uroczysty, to mnie niewiele obchodzi; proszę tylko, ażebyś pani nie ważyła się mnie ośmieszać w moim własnym domu!

— Pan wolałbyś być ośmieszanym po za domem?...

— Nie pochlebiaj pani sobie, że ci czynię scenę zazdrości — rzekł Szymon, cofając swoją twarz w szańce sztywnego kołnierzyka. — Dla mnie ten cygan, drugi, trzeci, czy dziesiąty, jednakową jest nicością, zerem. Każę mu odegrać to, czego się podjął, zapłacę mu umówioną cenę i będzie sobie mógł odejść; ale nie mogę pozwolić, aby kompromitowano moje urzędowe stanowisko. To, co ten cygan tutaj bredził, nie wchodziło wcale w zakres jego powołania, jako grajka, a zapowiadam stanowczo, że nie pozwolę w moim domu grać, ani śpiewać nic takiego, coby mogło podburzać umysły.

— Jeżeli to jest pański dom, wolno panu tu rozkazywać.

— I dowiodę tego niezwłocznie.

Tymczasem znaczna część gości otoczyła Paola, dopraszając się uporczywie, ażeby zagrał koniecznie którą z tych ślicznych, takim cudotwórczym obdarzonych urokiem piosenek: „Skargę” Bihari’ego, albo „Rybaka z Alföldu.”

Cygan jednakowoż, pomimo, że nie miał wyobrażenia o wyższej polityce, posiadał tak, jak kot, pewne instynktowne poczucie taktu. Paolo grać nie chciał, o co go proszono, wymawiając się tem, że do prawdziwie dobrego oddania narodowych pieśni

węgierskich nie wystarczają skrzypce solo; koniecznie potrzeba do tego akompaniamentu odpowiednio wyćwiczonej orkiestry.

Ale na nieszczęście usłyszał to reporter. Pan Ollósi, dowiedziawszy się, że artysta nie może grać bez tła orkiestrowego, nie mówiąc nikomu, pobiegł co tchu do poblizkiej kawiarni, gdzie Csicsa z kilku swoimi zabawiał gości parodią *Vagabunden* — polki, i zaanektował sobie z tego zacnego grona kontrabas i klarynet; wracając z tą zdobyczą, uszczknął jeszcze gdzieś po drodze cymbalki i całą tę armię dostawiwszy z tryumfem do pałacu jego Ekscelencyi, ustawił ją w pogotowiu na skinienie w pokoju, sąsiadującym z salą przyjęć.

Pan Lebegut, jako znawca muzyki, zapuścił się tymczasem w żywą dysputę z Paolem o to, po jakich mianowicie znakach charakterystycznych rozpoznać można prawdziwe stradivariusowe skrzypce od falsyfikatów. Paolo utrzymywał, że jest posiadaczem prawdziwego Stradivariususa, pan Lebegut zaś energicznie w wątpliwość to podawał. Sprzeczka zaczęła przybierać charakter coraz ostrzejszy.

Szymon wdał się w tę sprawę, rozdzielił ich i przyparł artystę do fortepianu.

— Łaskawy panie artysto. Jako pan domu, ośmielam się zwrócić ci uwagę, że tutaj, w tym salonie, który jest moim, wszelka interpretacya tak zwanych „melodyj narodowych” miejsca mieć nie może, ponieważ stawałaby w zbyt rażącej sprzeczności ze stanowiskiem urzędowem, jakie zajmuję.

— Obowiązkiem moim tutaj jest stosować się ściśle do życzeń waszej Ekscelencyi — odparł Paolo spokojnie, chowając skrzypce do skrzynki.

Zauważyła to Aranka, a zapewne i inni.

Nie mogąc ukryć niezadowolenia, pośpieszyła do męża.

— Panie! radzę panu nie kompromitować się



przed całym towarzystwem!—szepnęła niekoniecznie słodko.

— A ja radzę towarzystwu nie kompromitować się przedemną!

— Wszyscy życzą sobie usłyszeć coś narodowego.

— No, to każcie cyganowi zagrać *battutę* <sup>1)</sup>.

Rozdrażnienie między mężem a żoną zaczynało sięgać kulminacyjnego punktu, i trudno było przewidzieć, do czego doprowadzi, gdy naraz boczne drzwi otworzyły się z hałasem, i wpadła przez nie baronowa matka, ale z tak dziwną gestykulacją rąk, z tak osobliwym wyrazem twarzy, wogóle tak jakoś awanturniczo, bez najmniejszego zachowania przyjętych w świecie form towarzyskich, że obecni cofnęli się zdumieni, nie mogąc pojąć, co wywołało taki oryginalny występ osoby siwej, powszechnie szanowanej, odznaczającej się zawsze majestatyczną powagą.

Ubrana wspaniale, jak na raut przystało, w jedwabnej sukni, koloru fioletowego, ze strusiem piórami, wpiętymi we włosy, przez długość salonu biegła prosto ku synowi i synowej, krzycząc na cały głos, ile jej sił starczyło:

— Ah! mój syn!... mój syn!...

Wszyscy byli zdziwieni i sposobem wtargnięcia na salę zacnej matrony i okrzykami, jakie wydawała, lecz najbardziej ze wszystkich zgorszony był sam pan domu, jego Ekscelencya.

— Cóż to jest? Co to znaczy? Hrabino? Cóż to znów za scena? Czy to przyjęte jest w naszym świecie tak wpadać z impetem do salonu?...

Lecz baronowa Anna, nie słysząc pytań, po-

---

<sup>1)</sup> *Battuta*—taniec wołoski.

wtarzała w uniesieniu, z jakimś niepojętym zachwytem:

— Boże, mój Boże... Ah! mój syn!...

Szymon ciągle myślał, że matka do niego, lub o nim mówi.

— Czegoż mama chce odemnie? proszę powiedzieć prędko, domyślać się nie umiem? Czy i hrabina się też mieszasz w tę niesmaczną sprawę? Podzielasz dziecinne kaprysy swojej synowej?

Baronowa Anna potrząsnęła głową.

— Nie... nie! cóż znowu? Ja o niczem nie wiem! Tylko... mój syn przyjechał! Mój syn!.. Widziałam go przez okno, jak wysiadał z powozu!..

— Jaki syn?—pytał Szymon zdębiały.

Baronowa Anna była w zachwyceniu, które graniczyło z obłąkaniem.

— Przecież tylko... — (Na szczęście spostrzegła się w porę, że właściwie przeciwnie: bo *nie* tylko jednego ma syna). — To on! On. Mój syn, Zoltan!

Baronowi Szymonowi oczy i usta otworzyły się szeroko ze zdziwienia.

— Zoltan Bárdy? To niepodobieństwo!

— Ależ idzie tu już — słyszę. Znam odgłos jego kroków. Idzie.

W salonie zapanowało milczenie, wszyscy mieli uwagę wyłącznie zwróconą na baronową wdowę.

Po krótkiej chwili w otwartych drzwiach salonu ukazała się istotnie postać hrabiego Zoltana Bárdy, w tej samej, szarej, kortowej kurtce, zaopatrzonej sześcioma kieszeniami na piersiach, w której go zazwyczaj dawniej widywano. Brodę tylko i wąsy miał krótko przyszyżone, zresztą—nie znać na nim było żadnej ważniejszej zmiany,

Spotkawszy się na progu z matką swoją, któ-

ra sama jedna naprzeciw niemu wybiegła, roztworzył ramiona, chwycił ją w objęcia i zdawało się, że uścisk ich końca mieć nie będzie. Mowili coś przytem słowami bezładnemi, przerywanemi, lecz nikt ich nie rozumiał, tylko oni sami siebie.

Za Zoltanem zaś stał inny jeszcze osobnik, dawniej nam znajomy, stary Jan, hajduk, niedawno tak bezwzględnie ze służby wypędzony przez jego ekscelencyę. Trzymał w ręku małą walizkę skórzaną swojego pana, a wąsy siwe, zawiesiste, miał dziś tak samo z fantazyą podkrecone do góry, jak dawniej.

— Co? Jakto? Więc pański brat został uwolniony? — pytał zdumiony pan Lebegut barona Szymona.

— Dyabli się wdali w tę sprawę — mruknął Szymon, tłumiąc wściekłość.

Baronowa Anna w obie dłonie ujęła twarz ukochanego syna.

— Jesteś wolny?

— Jak widzisz, matucho.

— Nie śledzą cię? nie gonią?

— Nie uciekłem przecież z więzienia, ażeby mnie gonić mieli. Mam z sobą paszport i wszelkie potrzebne świadectwa.

— Niechże ci się przypatrzę! Na własne oczy niechaj się przekonam, czy nie zmizerniałeś bardzo od więziennego zaduchu?

— Zkądżeżbym miał zmizernieć! Nigdzie mi jeszcze nie było tak dobrze, jak tam, w fortecy.

— Jakto, więc cię nie zamknięto do ciemnego lochu?

— A to po co? Używałem zupełnej swobody osobistej, chodziłem gdzie mi się żywnie podobało — w obrębie fortecy. Ledwie nadażyć mogłem z wizytami u oficerów, a w chwilach wolnych grywałem w pikietę z komendantem twierdzy.



— Patrzaj! A ja myślałam, że giniesz z nudów, że przymierasz z głodu!

— Cóż znowu! Nic podobnego nie miało miejsca. Czyż mamie nie wiadomo, iż państwo wyznacza dla każdego politycznego więźnia po trzydzieści reńskich na miesiąc. Ale ja byłbym mógł uzbierać na ten majątek, gdyby mi się tak było podobało, ponieważ z powodu wielkiej gościnności, jaką względem mnie wszyscy tam praktykowali, po prostu nie miałem żadnych potrzeb, nie miałem co z pieniędzmi robić — wszystko oddawałem mojemu ordynansowi. Ale przecież ja ci te i rozmaite jeszcze inne szczegóły detalicznie w listach opisywałem. Co tydzień, mimo wizyt i partyjek, umiałem sobie zaoszczędzić chwilę czasu na skreślenie listu do ciebie.

— Ani jednego z nich nie odebrałam!

— Ha, to widocznie zatrzymywał je w drodze jakiś skrzący zbieracz autografów.

Rzecz prosta — hrabia Zoltan zmyślał naumyślnie, ażeby matce swojej oszczędzić bólu i zagoić w jej pamięci okropne wspomnienia chwil, jakie przeżyła w jego nieobecności.

Lecz nie tak to łatwo w pole wywieść serce matki!

Głaszcząc ręce syna — naraz spostrzegła coś takiego, co krew zmroziło jej w żyłach.

— A to... to! Co to jest?... Czyż to nie są ślady kajdan? Ciało starte od łańcucha!

Ho, ho! matczyne oczy!

Zoltan roześmiał się wesoło.

— Hahaha! Łańcuchy? Kajdany?... Jak mama nawet może przypuszczać coś podobnego. Nie miałbym też nic lepszego do roboty, jak kajdanami brząkać! Zwyczajne starcie skóry, nic więcej. Jadąc wieczorem przez las, woźnica wyrócił powóz do rowu... Dobrze, że się na takiej błahej nauce

skończyło; można było ręce i nogi połamać w tej przygodzie.

— A jednak wiem, że w wyroku wyraźnie stało, iż skazany jesteś na kajdany.

— To frazes! To się tylko tak nazywa. Prosta formalność urzędowa, nic więcej. Ale, *à propos* „kajdan”. Mój Janie—widzisz matusiu i tego starego miałem przy sobie przez cały czas. Podaj mi tu, Janie, moją ręczną walizkę.

Jan zbliżył się do swego pana z walizką w rękę,

Zoltan skorzystał z tej chwili, aby mu szepnąć do ucha:

— Ani pary z ust o tem, co się ze mną działo, pamiętaj stary! Matka moja o niczem wiedzieć nie powinna.—Następnie dodał głośno:—Podpinaj te rzemyki.

Podczas gdy Jan zajął się odpinaniem i wysuwaniem licznych rzemyków, ściskających walizkę, Zoltan dostrzegł wśród tłumu gości—Paola. Właściwie widział on także i innych, lecz Paolo najlepiej mu się ze wszystkich podobał. Złączyli dłonie w serdecznym uścisku.

— Ah, i ty tu jesteś, kochany Paolo? Jakże rad jestem, że ciebie widzę! Czytałem o twoich tryumfach za granicą. Każdy krok twój śledziłem z zajęciem w gazetach. Cóż twoja żoneczka, moja śliczna kuma? A co, dziwisz się, że ją tak nazywam? Wiem ja dobrze o wszystkim. Powiadomiono mnie w samą porę o tem, że zostałeś ojcem dwóch naraz tegich obywateli, zarządziłem też niezwłocznie, aby mnie zapisano, gdzie trzeba, na ich ojca chrzestnego. Słyszałem także i o tem, że kupiłeś tu sobie, wróciwszy, domek z ogródkiem, i w nim teraz mieszkasz. Widzisz, jak wybornie o wszystkim jestem poinformowany!

Jan tymczasem ułatwił się z rzemykami i otworzył walizkę.

Zoltan wyjął z niej dwa niewielkie, skórzane futeraliki.

— A teraz proszę cię, mój Janie, zamknij to napowrót i zanieś do mojej sypialni. Możesz mi także posłać łóżko, mam zamiar wcześniej się udać na spoczynek. Ale będziesz wiedział jak? Pamiętasz, że ja lubię sypiać tylko na polowem łóżku, pokrytem skórą niedźwiedzią. Po podróży—należy mi się wygodny nocleg w domu.

Jan zabrał walizkę i odszedł w głąb mieszkania.

Goście spoglądali pa sobie pomieszani, nie wiedząc, co z sobą robić, jak się zachować w sytuacji, która ich tak niespodziewanie zaskoczyła.

Pan Lebegut szepnął z naiwną przebiegłością do pana Mikulaja:

— No, no, proszę patrzeć, jak on tutaj rozkazuje, zupełnie, jakgdyby mu się zdawało, że jest u siebie, w swoim własnym domu!

Baron Szymon gryzł paznogie w wielkiem rozdrażnieniu.

Co z tego wyniknie? Przecież dwóch panów domu tutaj być nie może, więc któryż z tych dwóch okaże się prawdziwszym?

Zoltan otworzył jedno z puzderek i wydobył z niego ozdobny łańcuszek, delikatnie wyrzeźbiony z kości słoniowej, pracę rąk własnych, dokonaną w więzieniu.

— Patrz, droga matuchno, podczas tak zwa-nej niewoli mojej, nauczyłem się toczyć, rzeźbić, wycinać laubzegą... Czysty zysk! Zaraz też sporządziłem ten łańcuszek dla ciebie—noś go, matuchno, na pamiątkę upłynionych dni naszej rozłąki...

W oczach baronowej Anny perlily się łzy.

— Oh, drogi mój synu ukochany! Będzie to



moim różańcem ulubionym! Modlić się będę na tej pracy rąk twoich, dopóki będę żyła!

Zoltan otworzył następnie drugie puzderko i wydobył z niego drugi, zupełnie podobny łańcuszek do tamtego, także z kości słoniowej, i zwrócił się tym razem do Aranki.

— Ten drugi łańcuszek zaś, który jest także dziełem mojej własnej roboty, przygotowałem dla mojej kochanej bratowej. Droga Aranko! racz przyjąć odemnie ten skromny upominek; noś go na swej alabastrowej ręczce i wspominaj o mnie przytem tak często, jak ja wspominałem ciebie, pracując nad tą drobnostką.

Zapinając na obnażonem ramieniu Aranki bransoletkę tę, tak żywo przypominającą kajdany, przez oczy, których jak urzeczona, oderwać od niego nie miała siły, sądował wzrokiem jej duszę, a spojrzenie to zawierało w sobie równocześnie oskarżenie i wyrok!

Aranka, wstrząsana dreszczem febrycznym, stała napozór spokojna i dumna, dopóki Zoltan łańcuszka nie zapiał; tylko jej twarz bezbarwna powlokła się jeszcze silniejszą, niż zazwyczaj, bladością, oczy zaś ciskały jakieś nienaturalne, fosforyczne blaski.

— Dziękuję — wyszeptała głosem zdławionym.

Gdyby Zoltan był wyrzekł chociaż jedno słowo oskarżenia, gdyby oczy jego, tak jowiszowo spokojne i wzgardliwe, były rzuciły bodaj jedną iskrę gniewu, albo groźby, szala przerażenia, jakiemu ulegała Aranka, do tego stopnia zostałaby przepełnioną, że byłaby z krzykiem uciekła z salonu, lecz Zoltan naraz zmienił rolę. Od Aranki zwrócił się nagle do pana Lebeguta i zagadnął go uprzejmie z jowialnym uśmiechem:

— Ah, kochany pan naczelnik komitatu! Jakże mi przyjemnie, że pana tutaj widzę! To rzekł-

szy, podał pocziwcowi rękę i serdecznie mu dłoń uściśnął.

Niewielki człowieczek o mało nie podskoczył z radości, dostąpiwszy tak wielkiego zaszczytu. Oburącz objąwszy rękę hrabiego, uniósł się na palcach.

— Mnie, panie hrabio, jeszcze przyjemniej, o wiele jeszcze przyjemniej, że my pana tutaj widzieć możemy... Jeszcze raz powtarzam, iż cieszę się tak, jak już dawno z niczego się nie cieszyłem! O, i moja żona również nie posiada się z radości.

Istotnie, pani Fruzina w tak wielką popadła ekstazę na widok hrabiego, że śmiała się i śmiała bez końca—prawie na głos, pomimo swojej niemoty.

Hrabina Anna tymczasem, milcząc, ze zdumieniem śledziła rozgrywającą się przed jej oczyma scenę, której każdy, najdrobniejszy szczegół odkrywał jej matczynej domyślności coraz nowe, a doniosłego znaczenia tajemnice.

Ten zabobonny niemal przestрах, tak wyraźnie malujący się na twarzy Aranki, podczas gdy Zoltan zapinał na jej rękę łańcuszek, przez siebie wyrzeźbiony, to drżenie jej, oczy nawpół obłąkane... co to znaczyć mogło? Tuż za żoną stojący baron Szymon z wypiętnowanym na grubych rysach swojego oblicza wyrazem wstydu i poczucia własnej winy, ani jednym słowem radości nie witający brata, tylko szarpiący swoje wąsy w bezsilnej wściekłości... Dlaczego?! A i Zoltan także, czemu, widząc innych, brata nie dostrzegal?... Wolał z obcymi się witać, naczelnikowi komitatu wolał dłoń uściśnąć... A jak się z tego szczerze cieszył dobry człowieczyna! I żona jego jak serdecznie dzieliła tę radość; śmiała się, biedactwo, a z jej strony musiało to być szczere, ponieważ, jako pozbawionej słuchu, nikt nie byłby mógł tego naprędce podszeptać.

W umyśle baronowej Anny zabłysło naraz podejrzenie, które w jednej chwili, kierowane nieu-

blaganą siłą logiki faktów, roztaczających się przed jej wzrokiem, zamieniło się w niezbitą pewność. Nie! To nie naczelnik komitatu był tym, który na zasadzie przejętych listów Zoltana w moc sprawiedliwości wydał; donosicielem musiała tu być sama Aranka!

Usta baronowej wdowy otworzyły się drżące, spieczone ze wzruszenia, na razie nie zdolne głosu wydać z piersi; mimowolnym ruchem rękę wysoko uniosła, wskazując na Arankę i zdawało się, że w powietrzu już drgają wyrazy, jakie rzucić miała:

— Więc to ty byłaś zdrajczynią!...

Kto patrzył na nią, cofał się, zdrewniał, czując, iż rzuci się jak lwica, na tamtą, wystrojoną piękność, że z nadludzką siłą rozszarpie ją na ćwierci i za włosy wlokąc, wyrzuci za próg swojego domu.

Lecz spostrzegł to i Zoltan. Pospieszył zapobiedz skandalicznej katastrofie.

Właśnie częstowała go Manga jakiemiś słodkami, do niegodziwości grubo ulukrowanymi ciastkami.

— Ah, pocziwa Mango, przysmaki te w żaden sposób nie są odpowiednie dla purytańskiego żołądka aresztanta. Nie macie tu czasem gdzie pod ręką dobrej wypieczonej bułeczki z tureckiej kukurydzy?

— Nie, ale kucharz przygotował dla służby wyborny gulasz.

— Ot, to aż miło, tego mi przynieście i trochę polewki kukurydzanej z twarogiem.

Tu zwrócił się do matki:

— Najmilsza moja, ukochana matusiu! Tyś mi niegdyś potrafiła tak wyśmienicie przyrządzać ten ulubiony mój nad wszystkie łakocie specjał: polewkę z kukurydzy z chrupiącymi grzankami i z dobrze zsiadłym twarogiem. Już nic nie brakowałoby mi



do szczęścia w tym dniu powrotu mojego do domu, gdybyś mnie tem zechciała uraczyć!

Serdecznie, wesoło rzucone te wyrazy, zniweczyły odrazu gniew i zgrozę w sercu baronowej. Dobroć, bezgraniczna łagodność, jakiej była uosobieniem, wzięła górę nad przykreimi uczuciami, które tak gwałtownie targnęły jej duszą. Tragiczna bohaterka, gdy jej wspomniano obowiązki pani domu, zapomniała odrazu o swojej roli, tak nieodpowiedniej dla jej charakteru. Syn, napomknawszy o przysmaku, jakim go karmiła jeszcze w dzieciennych latach, odegnał z jej myśli wszelkie czarne podejrzenia, oburzenie, wściekłość szaloną. Piękna jej twarz odzyskała wyraz pogody i szczęścia.

— Dobrze, dobrze, i owszem, mój synku najdroższy! Przecież naprawdę, to ja tu jestem panią domu! Wszystko będziesz miał, na co ci tylko ochota przyjdzie! Idę, biegnę, pospieszę się, zobaczysz! Teraz ja tu uczęstuję gości!

Jaki tryumf szczery i wielki zawierały te słowa!

Teraz dopiero się dowie to zbiorowisko gości, z których część większa nigdy za dawnych czasów do tego salonu nie miała wstępu, jaka jest różnica między panią od parady a panią domu z powołania i prawa! Tamta daje limonadę i sucharki, ta zastawi sutą, węgierską kolację!

Miłość macierzyńska składa się nie z samych tylko frazesów. Dawnych naszych matek słabostką było wynajdywać, odgadywać ulubione potrawy swoich dzieci i przyrzadzać je iście koncertowo.

Baronowa Anna przed odejściem do gospodarstwa raz jeszcze uściśnęła Zoltána.

— Przecież to dziś twoje urodziny!

I wybiegła, żeby się wypłakać dowoli.

Zoltán urządził sobie teraz kompletne *cercle*, jak jaki potentat, czy książę udzielny; po kolei każdego z gości zaszczycił kilku słowami, każdemu

miał coś dowcipnego, albo miłego do powiedzenia, pilnie trzymając się względów grzeczności, nie pomijał nikogo.

Tylko tak się jakoś dziwnie składało, że jednego jedyne go Szymona dotychczas jeszcze nie spostrzegł.

— Ach, kochany pan Mikulaj! Co widzę, z małżonką, jeszcze nie miałem szczęścia być jej przedstawionym. Bardzo mi przyjemnie. Jakże państwo czas przepędzacie? Wesoło? Zabaw dużo bywa? A w teatrze czy też często bywacie? Doprawdy, tylko na operach? A w karnawale bywali państwo na balach? Jakto, pani już nie tańczy? To niepodobieństwo! krzywda dla młodzieży. Mam nadzieję, że na pierwszym pikniku, jaki urządzimy, zechcesz mi pani ofiarować jeden z kadryłów.

Następnie do dana Balambéra się zwrócił:

— Ej, ej, wujcio Bala, figlarz, jak zawsze, Ledwie go poznałem, tak wyładniał, odmłodził... Hm, to ogolenie brody daje wiele do myślenia. Gdybym ja był żoną wujcia, nigdy nie byłbym dał na to mojej sankcyi. Czy szanowna pani wcale nie jest zazdrosną? Historyczny bałamut z wujcia Balambéra. Kroniki pisać o sprawkach, jakich się dopuszcza na stronie.

Panu Balambérowi zaś niczem w świecie nie można było wyrządzić większej przyjemności, jak oskarżeniem go o to, że jest pogromcą serc niewieścich.

Nawet dziennikarzowi nie wybaczył; i jego zagadnął, ujawszy go łaskawie za obie ręce.

— Zaczny przyjacielu, nieporównana chlubo naszego piśmiennictwa, kochany panie Ollósi! Wszak prawda, nie będziesz pan czynił użytku z moich przygód świeżo przeżytych, nie ujmiesz ich w szlachetne ramy swojego stylu dla ozdoby gazety, którą redagujesz? No, przysięgnij mi, że się tego nie

dopuszczisz na mnie — przysięgnij na kości swojej matki!

— Ależ, panie hrabio, moja matka jeszcze żyje.

— Więc tembardziej. Mój panie, bo tak mi chodzi o to, żebyś czasem nie wzbogacił naszej literatury powieścią, w której ja musiałbym się fatygować, jako bohater. Przeczuję nawet pod jakim tytułem wydałbyś ten utwór: „Dziesięć miesięcy w kazamatach Jozefstadtu.” Cóż, przyrzekasz mi pan, że nie podobnego pióro twoje nie skreśli?

— Przyrzekam chętnie, skoro pan hrabia tak każe, nie zaręczam jednakowoż, czy przyrzeczenia tego dotrzymam.

Ale tymczasem Aranka zdołała odzyskać utraconą równowagę moralną. Po cichu szepnęła do Szymona:

— Wszystko to jest chyba tylko jakimś złym snem, złudzeniem przykrem, które musi prysnąć. Czyj to manewr być może?

Potem, gdy Zoltan ze wszystkimi, których chciał widzieć, zamieniwszy po kilka słów, napowrót przybliżył się do koła, w którym ona stała, sama podeszła ku niemu i rozpoczęła rozmowę:

— Ah, panie hrabio, jakie to szczęście, jakież to zwrot pomyślny a niespodziewany zezwolił na to, że możemy cię widzieć tu dziś pomiędzy nami! Doprawdy, nie śmieliśmy ani marzyć, żeby starania nasze, jakie poczyniliśmy w twojej sprawie, adresując się do najwyższych instancyj, odniosły taki pędki i tak zupełny skutek!

— Bo też, kochana bratowo, uwolniony zostałem bynajmniej nie wskutek ulaskawienia, którego wogóle wątpię, czy dostałbym kiedykolwiek; stała się ze mną okoliczność o wiele prostsza, którą nawet znacznie łatwiej było przewidzieć. Mianowicie śledztwo wykryło, iż wszystkie rzekome dowody mojej winy są niezbyt nawet zręcznie podrobionym fał-



szem. Listy owe, z karygodną treścią, przypisywane tak gwałtownie mojej skromnej osobie, okazały się rękopisem jednego z moich podwładnych, wydalonego niedawno ze służby za oszustwo, na jakim nieborak nierozważnie pozwolił się przyłapać. Udało mu się istotnie utrzymać charakter pisma, podobny do mojego, ale też ćwiczył się dosyć długo w tej sztuce, jak to właśnie zeznał przed sądem.

Aranka przypomniała sobie, co Paolo rzekł na to wówczas, gdy ona starała się go zastraszyć wiadomością o przestępstwie Zoltana. Taki oto prosty Cygan i zkaż on miał w sobie tę delikatność uczuć, tę intuicję trafną, która mu pozwalała jaśniej orzeczach sądzić, niż inni?

— Więc przekonawszy się, że ja zeznawałem prawdę, a inni kłamali, przeproszono mnie pięknie za dziesięciomiesięczne przetrzymanie pod kluczem, ja zaś podziękowałem za dziesięciomiesięczne utrzymanie na koszcie rządu i rozstaliśmy się we wzruszającej zgodzie. Istotnie, będąc tam, czułem przynajmniej, że *czemś* jestem. A teraz oto zdjąłem koturny, w których mi było tak ładnie, wróciłem do domu i znów jestem „święte nic”.

— Ach, doprawdy, hrabio, nigdy nie uwierzysz, z jak wielkim niepokojem myśleliśmy ciągle o tobie — mówiła Aranka pod naciskiem potrzeby odzy-skawszy naprędce swoją rutynę sceniczną.

— Zauważyłem to, kochana bratowo, w delikatnych ulgach, udogodnieniach, jakie w mojem położeniu były możliwe, względności osób, których opiece byłem powierzony, wyraźnie odczuwałem dobroczynne ślady twojego wpływu. Nadewszystko jednakże wdzięczny ci jestem za to, że podczas mojej nieobecności raczyłaś wyręczać moją nieszczęśliwą, w żalu pogrążoną matkę w sprawowaniu obowiązków pani domu.

Z każdego słowa Zoltana tryskała zabójcza ironia.

Aranka przygryzła wargi. Zrozumiała to wybornie, że w podziękowaniu tem zawierało się jednocześnie *wypowiedzenie* poczesnego miejsca w tym domu dla niej, tudzież jej męża. Od dzisiejszego dnia panią i władczynią tego pałacu będzie napowrót baronowa Anna, panem zaś—Bárdy.

A jego ekscelencya?... A żona jego?... Czemże oni tu będą od tej chwili? Jaką rolę nadal odejmą w tym domu? Rolę gości? Płatnych lokatorów? Lub może z łaski znoszonych krewnych rezydentów?

Towarzystwo, rozbite na większe albo mniejsze kółka, szeptało między sobą zcicha. Skrępowani byli jakoś wszyscy, dziwnie nieswojo im było.

Zoltan zauważył to, że goście nie wiedzą, co z sobą zrobić, i że mają takie miny, jakgdyby się żegnać chcieli i do domów uciekać. Pośpieszył przykremu temu wrażeniu zaradzić, w dalszym ciągu mówiąc do Aranki podniesionym głosem tak, ażeby wszyscy słyszeli:

— I tę również pocziwam chęć zrobienia mi przyjemności wysoko cenię, kochana bratowo, że dla uczczenia mojego przyjazdu sprosiłaś takie liczne, miłe i świetne towarzystwo, któremu także wdzięczny jestem, że zechciało przybyć.

Dla silniejszego jeszcze podkreślenia słów swoich, podał ramię Arance i razem z nią zwrócił się do gości.

Grzeczne te słowa i zawarte w nich pochlebne określenie bardzo ujęły wszystkich za serca; tem mniej jednakże podobały się jego ekscelencyi, którego Zoltan dotychczas jeszcze jakoś nie zauważył. Milcząc, tłumił w sobie wściekłość.

Byli tacy, których oryginalna ta sytuacja zaczęła niepomalu bawić.

Z osób zebranych prawie wszystkim doskonale były znane kulisy zaszłych wypadków. I nic dziwnego. W takiej prowincjonalnej stolicy wszelka

tajemnica przedostaje się do wiadomości ogólnej tak łatwo, jak łatwo przemaka skóra jelenia od rześkiej ulewy.

Wiedzano o tem, że Aranka była niegdyś narzeczoną Zoltana; później faworytą wszechmocnego wielkorządcy *Kronlandu*, i że dopiero następnie, od niedawna, została żoną przyrodniego brata swojego pierwszego narzeczonego. Kto chciał, ten i tego domyślał się również, kto był głównym motorem procesu, wytoczonego przez rząd Zoltanowi... Niejednemu przeto nie mogło się tutaj nie wydać ucieśnieniem, że oto teraz, po swoim uwolnieniu przechadza się we własnym salonie ten, który padł ofiarą zdrady, ręka w rękę z tą, która go wydała, notabene, swoim dawnym ideałem...

A z każdego słowa, jakie do niej wyrzeczę, sączy się w jej nerwy jad, tak umiejętnie osłonięty w pełne galanterji dodatki, że tylko ona jedna odczuwa go i rozumie.

— Bo przecież musiałaś wiedzieć, że dzisiaj przybędę tu? Czyż być może, jak to? powiadasz, że nie nie wiedziałaś? Mogłaś była posłyszeć coś o tem z *najpierwszego źródła*. Zaraz jutro rano za najmilszy obowiązek będę sobie poczytywał być ujaśnienie oświeconego pana i złożyć mu najczulsze podziękowanie za łaskawie podjęte pośrednictwo w mojej sprawie. *Wszak zastanę go w domu?*

Aranka byłaby chętnie uderzeniem sztyletu odpowiedziała na te pytania, podkreślane z pełnym ironii dwuznacznym naciskiem.

— Nie umiem pana objaśnić w tej kwestyi; zechciej pytania te zwrócić do mojego męża, on pewno będzie wiedział.

Zoltan jednakże, zamiast iść za jej radą, znów innego koziołka wywinął: udał, że w słowach Aranki przedewszystkiem to go zafrasowało, iż ona go „panem” nazywa.



— Jakto, czyż nie będziemy sobie mówili po imieniu?

— Dopiero pierwszy raz się widzimy od tej pory...—szepnęła Aranka, nie mogąc zapanować nad zmieszaniem.

— *Od tej pory?* Ale którąż to porę mamy przyjąć za chwilę rozpoczęcia ery naszej rozłąki? Dziś jesteśmy w miesiącu *fruktidorze*; ostatni zaś raz widzieliśmy się w początkach *brumera*. Nieprawdaż? Na koronacyi nieszczęśliwego Jana z Lejdy. Aż dłonie mi popuchły, z takim zapalem klaskałem wówczas nieporównanej Fides. Pamiętny to był wieczór!

Aranka była blizką zemdlenia.

Zoltan znów do gości się zwrócił.

— Szanowni państwo, panowie i panie, proszę, zabawiajcie się z całą swobodą tak, jakście się bawili przed mojem przybyciem. Przykro mi, że wam chwilowo przerwałem wasze rozrywki. Grajcie sobie, śpiewajcie, tańczujcie, wykupujcie fanty... I ja chcę się dziś bawić! Dziś przecież są moje urodziny, podwójne urodziny! Będziecie musieli wypić za moje zdrowie, a także i za zdrowie tych wszystkich, życzliwych mi osób, które z takim upragnieniem oczekiwały mojego uwolnienia i powrotu. Ach, co widzę? oto stół zielony, przygotowany do wista. Ulubiona gra moja. Trzeba zebrać partyjkę. Wszak i na panią mogę rachować, *ex-celencyo*? (Tym razem już panią ją nazwał). Wiem, że pani znakomicie grasz w wista.

Było to znów lekkie ukłucie. U nas na Węgrzech pani domu nigdy do kart nie zasiada; nie pozwalają jej na to obowiązki, wynikające z jej roli. Ale Aranka przecież—zdaniem Zoltana, bezpiecznie mogła się grą zająć.

W milczeniu skłoniła głowę na znak przyzwolenia.

— Na trzeciego poprosimy sobie kochanego pana naczelnika komitatu—rzekł Zoltan.

Pan Lebegut odrazu wpadł *in medias res*.

— Z całą przyjemnością, z całą przyjemnością! Ale z warunkiem, żeby tylko po pół krajcara, po pół krajcara.

— A na czwartego kogo wziąć? — pytał Zoltan, rozglądając się i miarkując sobie, ażeby nie wybrać jakiego fuszera, któryby tylko psuł grę.

— Może jego ekcelencyę? — proponował Lebegut—młodszego brata pańskiego, panie hrabio?

— Ech, mój brat wcale nie posiada karciarskiego zmysłu. Gra bez żadnej weny, jak manekin. Ot, Paolo będzie lepszy. Paolo, prosimy do nas, na partyjkę wista!

Jeszcze tylko tego brakowało, żeby Paolo zasiadł do wista naprzeciwko Aranki! Cygan stwierdził na sobie, jak prędko fortuna kołem się toczy: „tanten” pan domu omało, że go za drzwi nie wyrzucił, a ten do kart zapraszał!

Ale muzyk miał zbyt wiele zdrowego rozsądku, żeby mu ten splendor w głowie miał zawrócić.

— Ja bardzo słabo gram w karty—zaczął się wymawiać.

— To jest właśnie największą zasługą w partnerze od wista, jeżeli w skromności ducha w innych stara się wmówić, że jest złym graczem. Już bądź spokojny, tylko siadaj.

To jednak naprawdę zbyt żywo dokuczyło Szymonowi.

Dotychczas unikał on starannie Zoltana, a na twarzy jego malowała się wyraźnie tłumiona wściekłość i zmieszanie, któremu nie mógł dać rady; każdy ruch jego zdradzał nerwową treść. Lecz teraz, do żywego oburzony, umyślnie zbliżył się do zielonego stolika tak, żeby Zoltan spostrzedz go był zmuszony.

Paolo Barkó doznawał takiego uczucia, jak-

gdyby wpadł w samotrzask: przykrość, jaką mu sprawiało zasadzenie go do kart, dawała się widzieć po ramionach jego, podciągniętych w górę. Cygan nie twarzą zdradza swoje wrażenia, tylko ramionami; po nich poznać można czy jest z czego zadowolony, bardzo, mniej, tylko trochę, albo czy też „dyabli nadali”.

Manga roznosiła właśnie tacę z herbatą w filiżankach z porcelany chińskiej. Docisnąwszy się do Paola, szepnęła mu do ucha po cygańsku:

— *Iskiri more!* Idź do domu, do żony! Tu nie dla ciebie miejsce. Ani ci tu dobrze, ani odpowiednio.

Panu Lebegutowi, który pomimo swojej dobroduszości, pojmował jednak całą sytuację, przyszedł do głowy pomysł, którym spodziewał się rozpedzić nagromadzone chmury. Wziął od Mangi z tacy filiżankę z herbatą i wznosząc ją do góry, wypowiedział naprędce toaścik, ochoczo i głośno, żeby wszyscy słyszeli:

— Z powinszowaniem panu hrabiemu szczęśliwego powrotu do domu!

Odpowiedziano na to jednogłośnie, przychylnym chórem.

— Nie, nie! cóż znów, moi panowie—zaprotestował Zoltan; toasty będziemy wznosili winem.

I tak zupełnie, jakgdyby teraz dopiero był spestrzegł barona Szymona, albo też, jakgdyby nigdy się z nim nie był rozstawał, lecz ciągle przebywał z nim razem, przechylił się ku niemu i zagadnął go z poufałą uprzejmością:

— Mój kochany braciszku, Szymonie, bądź taki dobry, idź do mojego pokoju i wyjmij z szuflady biurka klucze od osobnej piwnicy, gdzie są same wina. Trafisz do nich pewno? Każ Janowi przynieść dla naszych miłych gości z jakie dwadzieścia butelek maślacza, tego z 34-go roku.

Ani w tonie, ani w treści słów tych nie było



najmniejszej niegrzeczności. Cóż dziwnego, że starszy brat przemawia w ten sposób do młodszego: pan domu, do którego wszystko tu należy, do uboższego swojego brata, który wprawdzie nic tu nie posiada, ale z którym z całego serca tamten wszystko swoje dzieli. Gdyby w żyłach Szymona była ciekła chociaż kropla krwi szlacheckiej, byłby, co najwyżej, może obrażony na Zoltana za to, że się z nim nie przywitał, odpowiedział mu nawpół z żartem: „sam sobie usług, kiedy sługi nie masz!” Ale Szymon dalekim był w tej chwili od żartów. Wzburzyła się w nim ambicja urażona. Odrzucił głowę dumnie i odparł skrzeczącym głosem:

— Pan do mnie się z tem zwracasz? Do naczelnika okręgu?

W pysznem przeświadczeniu o wielkości swojego stanowiska, gotów był przypuszczać, że Zoltan jeszcze nic nie wie o tem, że on je obejmuje. Może nie zwrócił uwagi na przyczepiony do butonierki order na łańcuszku? Czas go ostrzedz, iż zanadto niebacznie się zbliża do regionu piorunów! Niechaj wie, że ten, którego po wino ośmiela się posyłać—jest „ekscelencyą!”

Ale Zoltana oświadczenie to wcale jakoś nie zbiło z tropu.

— Nic nie szkodzi: pomimo to będziesz mógł i ty skosztować z nami tego maślacza—odrzekł niewinniej.

Tak, jakgdyby w niewyczerpanej dobroci swego braterskiego serca wybaczając raczył tamtemu, że wszedł na bezdroża, które go doprowadziły aż do stopnia ekscelencji.

Goście zaś wszyscy, słysząc tę rozmowę, nie tylko, że się nie oburzyli na nieuszanowanie, okazane swojemu zwierzchnikowi, ale przeciwnie, zasłaniali usta, aby ukryć cisnący im się na usta uśmiech zadowolenia. Już to podwładni często miewają taki brzydki zwyczaj, że zamiast się martwić, gdy kto

udepce w odcisk ich naczelnika, tak się zachowują, jakgdyby ich kto łaskotał.

Szymon gwałtownym ruchem pokazał plecy osobom, siedzącym przy zielonym stole i jednocześnie zemścił się na Mandze, stojącej przypadkowo tuż za nim, z tacą w rękach. Dotknął ją pięścią pod żebra i wnet wszystkie filiżanki posypały się na podłogę, przyczem niejedna uległa rozbiciu.

— Głupia gęś! — huknął Szymon na Mangę, tak, jakgdyby to ona była winną temu wypadkowi.

Manga zaczęła zbierać szczątki drogocennych filiżanek, mrucząc sobie pod nosem z prawdziwie cygańską filozofią:

— I czego tu wpadać w taką nierozumną pasję? Toć to hrabiowska porcelana już teraz, nie twoja, nie masz czego żałować!

Aranka stanęła przy mężu, uznając widać, że jej wypada trzymać jego stronę. Zresztą, jakoś nie rozpoczynano wista...

Zoltan uznał, że pora znów zmienić taktykę; do Paola się zwrócił:

— Cóż robić, kochany Paolo: skoro utrzymujesz, że nie umiesz grać w karty, grajże to, co umiesz. Weź skrzypce i smyczek, niechaj usłyszę ulubioną moją piosenkę, którą już dawno nie pieściłem ucha: „Nie zawsze noc trwa na niebie!”

— Skoro pan domu karze — rzekł posłusznie artysta, ale oczy mu przytem zabłysły wesoło. Pobiegł natychmiast do przyległego pokoju naradzić się z czekającymi w progu Cyganami. Opowiedział im pokrótce wszystko, co zaszło, ustawił ich w porządku i po chwili zabrzmiała radosna, prześliczna pieśń nasza narodowa, której każdy Węgier z duszy i serca wtóruje gdy ją posłysz, i która w dniach przykrych pociechą była, rozjaśniała ducha:

Nie zawsze noc trwa na niebie;  
Zabłyśnie słońko dla ciebie;  
Węgierska drużyno junacza!”

To już było nad siły jego ekscelencyi, ażeby takich herezyj słuchać i nie módz im tamy położyć.

— Chodźmy ztąd — rzekł do żony. — To jego dom. Nie mamy tu co robić.

I tak oto, jego ekscelencya razem z jej ekscelencyą, po nocy, we dwoje, wynieśli się z zajmowanego dotychczas pałacu do pobliskiego hotelu. Nie żegnali się z nikim i nikt ich też nie zatrzymywał.

Goście natomiast wszyscy pozostali na miejscu, a po mieście piorunem gruchnęła wieść o niespodziewanym powrocie hrabiego Zoltana i o tem, że zaraz na wstępie tak hucznie obchodzi swoje urodziny.

Więc naraz, jakby ręką odjął, ustała w mieście epidemia, która większości zaproszonych osób nie dała przybyć na raut ich ekscelencyi; jakoś naraz przestały boleć ręce, nogi, głowy i ci, którzy owe zaproszenia pootrzymywali, nie zważając na spóźnioną porę, poubierali się prędko i pośpieszyli do pałacu Bárdych, dopełnić liczbę życzliwych, cieszących się szczęściem Zoltana i jego matki.

Okolo północy baronowa Anna zastawiła wspaiałą kolację; następnie zaś młodzież zabrała się do tańca i nie ustała w ochocie, aż po wschodzie słońca. Z wesołych najweselszym był pan Lebegut: tańczył, dowcipkował i śpiewał wszystko, cokolwiek grali, a do każdej nuty umiał odpowiednie słowa: „I ja sobie piję, w wywróconej bundzie!”

Pan Szymon Lenke zaś słuchał tego gwaru, tej niemilknącej do rana muzyki, z okien hotelu, stojącego prawie naprzeciwko pałacu, a w sercu jego wrzał gniew i chęć zemsty.

Godzina policyjna, po wybiciu której wszyscy byli obowiązani światła gasić, już dawno minęła, a muzyka, śpiewy i tańce wciąż dalej trwały! A po każdym tańcu powtarzała się, jako przegrywka, dziarska nuta pieśni:



Nie zawsze noc trwa na niebie:  
 Zabłyśnie słońko dla ciebie,  
 Węgierska drużyna junacza!"

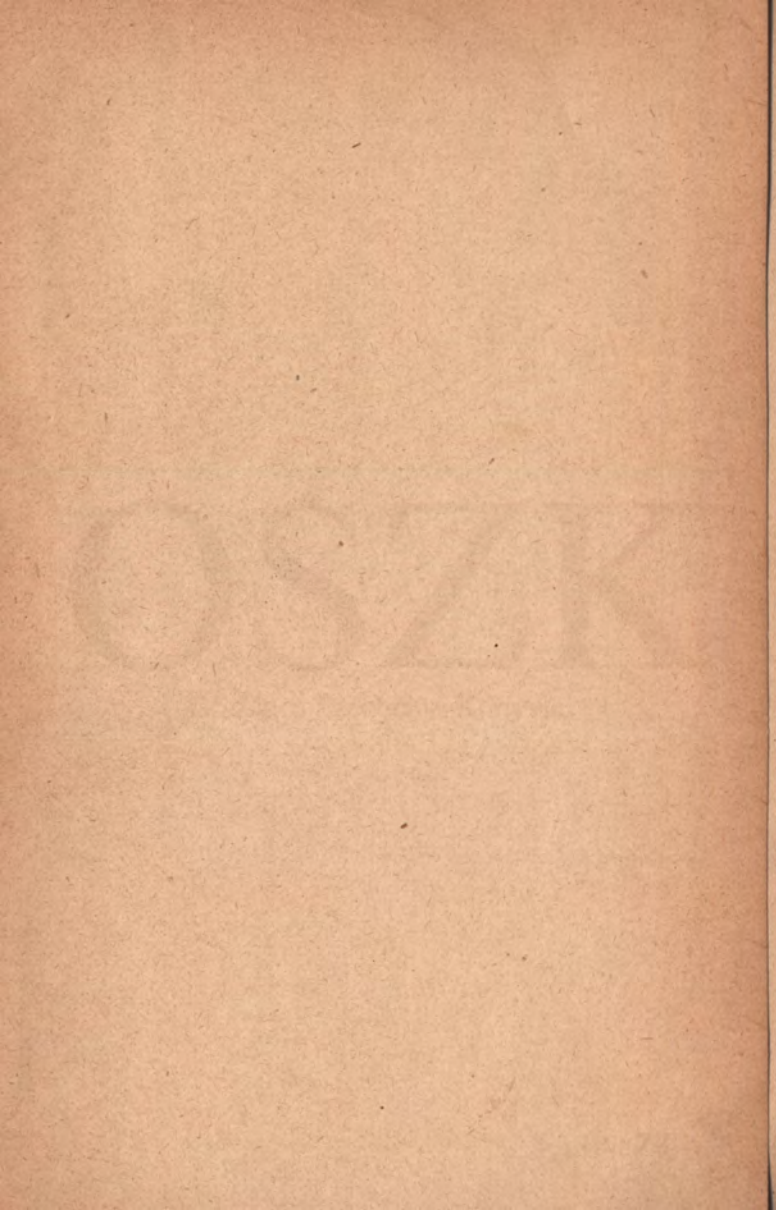
Gdyby mógł, chętnie byłby kark skreślił i Węgrom i Cyganowi i hrabiemu; — słowem, każdemu z nich: dla którego grano, o kim grano i temu, który grał.

Ale niestety, bezsilnym był w tym razie. Wszakże w pałacu tym zebrani byli jego właśni, przez niego samego pozapraszani goście!

Przez całą noc rozlegał się po mieście turkot powozów, na ulicach panował gwar i ruch niebywały. Trudna rada! Któż miał publicznego porządku pilnować, gdy sam kapitan policyi brał udział w powitalnym balu na cześć hrabiego Zoltana? Wywijał czardasza, aż mu się iskry z pod ostróg sypały!



KONIEC TOMU PIERWSZEGO.









OSZ

